



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Zabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Do... (Wiersz). — Widzenia Fantazja Jana Turgeniewa. — Korespondencja z Wiednia. — Listy z Włoch Tadeusza Jerzego Steckiego. — Przegląd muzyczny. — Obrazy na Wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych. — Pamiętnik Wacławy przez Elżę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

Do ...

Więc że gwiazdy bledną po nad tobą,
Ty rozpaczoną skrywasz je żalobą,
Miał wytrwaniem czarną przemódz chmurę
I na lice wiary wdziac purpurę?!

Więc że gwiazdy bledną po nad tobą,
Ze łos twardą chce cię złamać próbą,
Ty, co w głębi ducha płomieniejesz,
Miało w ognich stanąć gniesz się, chwiejesz?

Więc że gwiazdy bledną ty bolejesz!
A cóż gdyby słońce blask przyémilo?
Czyżbyś upadł aby nie wstać więcej,
I zgorzenie rozsiac śród tysięcy,
I pamięci bluźnić swój mogiły,
I być małoduszny tylko wzorem?

Kto ukochał słońce — ma je w sobie;
A jak ono ciągnie gwiazd regiony,
Ten jest mocen pchnąć świat nowym torem!
Lecz nie sarka — choćby napół w grobie,
Choć nad jego głową grom czerwony,
Choć mu gwiazdy bledną na błękiecie?

Kto ma słońce w sobie — ten ma życie
Więc choćby się wszystkie słońca starły —
Wstaje sam — wskrzesze świat umarły.

Wacław Pomian.

WIDZENIA

FANTAZJA

JANA TURGENIEWA.

(Dalszy ciąg).

IV.

Ileż to już lat minęło od chwili gdy piorun w dąb ten uderzył i strząsał wysoki jego wierzchołek, który od gromu tego zamarł i usechł, pień jednak pozostał jedyny, coraz nowe wypuszczał konary, świad-

czące swą siłą że mu jeszcze i na kilka wieków starczy. Kiedym się zbliżał do drzewa, przelotna chmurka zasłoniła księżyc, a gęste liście dębu tak czarny cień rzuciły, iż pod drzewem zupełnie było ciemno. Z początku nie dostrzegłem nic nadzwyczajnego, ale zwróciwszy wzrok w jedną stronę, ujrzałem z trwogą, a serce biło mi jak młotem — białą, nieruchomą postać stojącą po za dębem. Włosy powstały mi na głowie, oddech zatrzymał się w piersiach, jednak mimo to machinalnie postąpiłem ku widziadłu.

Była to ona, mój gość nocny. Kiedy zbliżałem się do niej, księżyc wyłonił się z po za przysłaniającej go chmury. Widziadło moje wydawało się jakby powstałe z mlecznego, w półprzezroczystego obłoku, przez twarz i całą jego postać, dostrzegłem rosnące za nim krzewy. Oczy i włosy teraz wydawały mi się daleko ciemniejsze, ręce trzymała założone na krzyż, a na jednym palcu błyszczała złota obrączka. Postąpiłem ku niej parę kroków i chciałem przemówić, ale słowa zamarły mi w gardle, — choć miotające mną uczucie właściwie nie było przestraczem. Spojrzała na mnie a w tem wejrzeniu nie malował się ani smutek ani radość, tylko jakiś pośepny rozmyśl i baczna uwaga. Spodziewałem się że przemówi do mnie, ale zawiadło mnie oczekiwanie — stała milcząca, nieruchoma, utkwwszy we mnie martwe, nieruchome wejrzenie.

— Otóż jestem! zawołałem nareszcie z niesłychanym wysileniem, a głos mój odbił się głuchym, chrapiwym echem.

— Kocham ciebie! odpowiedziała mi swoim cichym głosem.

— Ty kochasz mnie! zawołałem zdumiony.

— Bądź moim! szepnęła znowu.

— Ja mam być twoim!... ależ ty jesteś widziadłem nie mającym ciała!...

— W głowie mi się zawracało, sam nie wiedziałem co się ze mną dzieje.

— Któż ty jesteś? zapytałem po chwili. Obłok, mgła, postać jakaś powietrzna?... I ja mam być twoim!... Któż ty jesteś?... skąd przybywasz?... Czy żyłaś kiedy życiem ziemskim?...

— Bądź moim! powtórzyła. Nie zrobię ci nic złego... powiedz tylko te dwa słowa: *Jestem twoim!* Patrzyłem na nią osłupiały. Co ona mówi?... Co to wszystko znaczy?... Czy się odważyć spróbować? pomyślałem sobie.

I nagle, sam nie wiedząc co robię, jakby nieprzemyślnie, popychany siłą, zawołałem głośno: *Jestem twoim!*

Zaledwie wymówiłem te słowa, tajemnicza postać postąpiła ku mnie z uśmiechem, wyraz jej twarzy

zdradzał żywe zadowolenie wewnętrzne, złożone na krzyż ręce opadły, i wyciągnęła ku mnie ramiona... Chciałem odskoczyć w tył, ale nie mogłem oprzeć się jej władzy i sam nie wiem jakim sposobem znalazłem się w jej objęciu. Ciało moje wzniosło się pół arszyna po nad ziemię, i trzymając się unosiliśmy się zwolna po nad nieruchomą trawą. W

Uczulem zawrót głowy i mimowolnie zamknąłem oczy, — gdy je otworzył po niej jakimś czasie, lecieliśmy ciągle w powietrzu, ale już nie było widać lasu. Pod nami roztaczała się jakaś równina pokryta jakby czarnymi plamami, rozpatrzywszy się poznałem zdumiony że unosimy się nadzwyczaj wysoko.

— Jestem w mocy złego ducha!... Myśl ta wstrząsnęła mną jak uderzenie gromu. Dotąd nie przyszło mi do głowy że popadł w moc szatańską, że może to tajemnicze widziadło wiedzie mnie na potępienie... a teraz... Jednak lecieliśmy bezprzestannie o ile mi się zdawało, coraz wyżej a wyżej.

— Dokąd mnie unosisz? zawołałem nareszcie.

— Gdzie tylko zapragniesz, odpowiedziała moja towarzyszka, silniej przyciskając mnie do siebie. Twarz jej dotykała moją, ale dotknięcie to tak jakoś było delikatne i niezwykle, że go zaledwie uczuwałem.

— Chciałbym spuścić się na ziemię, bardzo przykrego doznaję wrażenia latając tak wysoko w powietrzu.

— Uczynię co żądasz, ale zamknij oczy i nie oddychaj.

Byłem posłuszny i zaraz zdało mi się że spadam jak kamień. Wiatr igrał z moimi włosami... Kiedy nareszcie odzyskałem zimną krew, postrzegłem że lecimy wolno po nad ziemią, muskając w przelocie wierzchołki wysokiej trawy.

— Spuśćmy się tu, rzekłem. Co za dzika myśl latać po powietrzu!... przecież nie jestem ptakiem.

— Myślałam że ci to zrobi przyjemność... ja zawsze przebywam w powietrzu.

— Tak!... a któż ty jesteś?...

— Żadnej odpowiedzi.

— Nie śmiesz odpowiedzieć na moje pytanie? Dźwięk żalony, podobny temu jaki usłyszałem pierwszej nocy obit się o moje ucho, zawsze unosiliśmy się po nad ziemią w wilgotnej atmosferze.

— Postaw mnie na ziemi! powtórzyłem. Spuściła głowę na znak posłuszeństwa i poczułem że stoje

na ziemi. Ona stała obok mnie, i znów skrzyżowała ręce w oczekującej postawie. Zaczynałem się uspokajać, zwróciłem na nią oczy i przyglądałem się jej bacznie. I teraz dostrzegłem w jej twarzy wyraz smutnej rezygnacji.

— Gdzie jesteśmy? zapytałem, bo otaczająca nas miejscowość zupełnie była mi nieznaną.

— Bardzo daleko od twego domu, ale możemy być tam za chwilę.

— Jakim sposobem?... Mamże znów powierzyć się tobie?

— Nie zrobiłam i nigdy nie zrobię ci nic złego... tylko aż do switu latać tak będziemy w powietrzu... Mogę cię ponieść gdzie tylko myśl twoja się zwróci, choćby w najodleglejsze krańce świata... ale oddaj mi się całkiem... powiedz raz jeszcze: *Jestem twoim!*

— A więc dobrze!... Jestem twoim!..

I w tejże chwili objęły mnie jej ramiona, ziemia wysunęła się z pod nóg moich i zaczęliśmy unosić się w powietrzu.

VI.

— Gdzie mamy lecieć? zapytała.

— Prosto przed siebie.

— Ten wielki las zagraża drodze.

— Lecmy po nad nim, tylko powoli.

I w tej chwili wznieśliśmy się w górę, wirując jak słomka wlatująca na wierzchołek przroczystej, aż wzbijający się po nad las zaczęliśmy znów lecieć w prostym kierunku. Teraz już nie trawy ale szczyty wyniosłych drzew przesunęły się pod naszymi stopami, jakież to dziwne przedstawiały widok te wierzchołki lasu oświetlone bladawym światłem księżyca. Zdawało się że to jakiś zwierz olbrzymi, który zasnął wyciągnięty, a ten sen jego zdradza się głuchym niewyraźnym mrużeniem. Czasami unosił się nad nami mały łakami leśnymi i wtedy podziwiałem długie linie koronkowych cieni, odbijających się od drzew wznoszonych się w około. To znów dochodziło nas żalosne skomlenie zająca i ponure pukanie sowy. W powietrzu rozchodziły się rozmaite balsamiczne wonie, pomieszane z wyciewami z grzybów, ziół i wilgotnej trawy. Księżyce roztaczał szeroko swoje martwe światło, miliardy gwiazd błyszczały po nad naszymi głowami. Nareszcie las pozostał daleko po za nami, a natomiast ujrzałem ogromną równinę, na której rysowała się jakby długa linia szarawej pary: była to bystra rzeka. Leciliśmy po nad jednym jej wybrzeżem, zarostem krzewami ubrylantowanymi rosą. Powierzchnia rzeki już to pływająca niebieskawo, już znów przedstawiała się czarna i groźna. Miejscami kłęby pary unosiły się po nad wodę prądem; tu i owdzie dostrzegłem lilje wodne roztwierające białe swe kielichy, prawdziwe skarby piękności, które teraz roztaczały śmiało, jakby dziewice pewne że ich ciekawe nie podgląda oko. Chciałem zerwać kwiat jeden, i już dotykałem zwierciadlanej wody powierzchni, lecz jakieś wilgotne zimno uderzyło mnie w twarz, właśnie w chwili gdy zrywałem grubą łodygę nemforu.

Jakby kuliki latałyśmy po nad wodą, od jednego do drugiego wybrzeża, i co chwila spłoszone stada tych ptaków zrywały się przed nami. Tu i owdzie widzieliśmy gniazda dzikich kaczek siedzących gromadkami wśród trzcin; te nie uciekały wcale. Wielki jeden kaczor wysunął nagle łepkę z pod skrzydła, popatrzył na nas... i znów ukrył dziób w gęstym swym puchu, a towarzysze i towarzyski jego zakwakały z cicha. Nieco dalej zbudziłyśmy czapkę siedzącą w krzaku szczydrzenia; widząc jak ciężko zrywa się na nogi i niezgrabnie wstrząsa skrzydłami, zdało mi się że patrzy na Niemca. Żadna ryba nie pojawiła się na wodę powierzchni, wszystkie spały spokojnie na dnie rzeki.

Powoli oswoiłem się z dziwnym wrażeniem latania w powietrzu, i teraz już mi to sprawiło nawet pewną przyjemność. Każdy komu śniło się kiedy że latał po powietrzu łatwo to zrozumie. Spokojny zupełnie, zwróciłem już całą uwagę na niepojętą istotę, dzięki której stałem się bohaterem tak nadprzyrodzonej przygody.

VII.

Była to młoda kobieta a rysy jej twarzy nie miały nic wspólnego z typem rosyjskim. Jej białoszara-

wa, na wół przezroczysta postać, jej kształty zaledwie zarysowane nieco ciemniejszymi cieniami, przypominały owe figury rzeźbione na alabastrowych naczyńkach, bladawym światłem oświetlonych wewnątrz. Zdawało mi się że twarz jej nie była mi obcą.

— Czy mogę z tobą rozmawiać? zapytałem.

— Dobrze.

— Widzę że masz obrączkę na palcu... Czy żyłaś kiedy na świecie?... Czy byłaś zamężną?..

Czekałem chwilę nie odpowiadając.

— Jak się nazywasz? — lub jak cię nazywano?

— Nazywaj mnie Alicją.

— Alicja to imię angielskie... Czy jesteś Angielką?... czy znałaś mnie kiedy?

— Nie.

— Dla czegoż więc ukazałaś mi się?

— Kocham ciebie!

— Czy jesteś szczęśliwa?

— Tak... nie jestże to szczęściem szybować tak z tobą w powietrzu!..

— Alicjo! krzyknąłem nagle, może jesteś potępiona... lub też duchem pokutującym?..

— Nie rozumiem cię, wyszeptala spuszczając głowę.

— Zaklinam cię w Imię Boga...

Przerwała mi mowę.

— Co ty mi mówisz? rzekła, jakby nie rozumiejąc słów moich... ja nie wiem co to ma znaczyć...

Zdawało mi się w tej chwili, że jej zimna obejmująca mnie ręka lekko zdrząła.

— Bądź spokojny, przyjacielu mój! rzekła. Nie obawiaj się niczego. I twarz jej pochyliła się ku mnie, a na ustach uczułem dziwne wrażenie, coś jakby uklucie przytępieniem żądłem... jakby czeplanie się pijawki co jeszcze nie ukąsiła.

(d. c. n.)

K O R E S P O N D E N C J A

WIEDNIA.

(Dokończenie.)

Każdy co miał sposobność podziwiać piękną płeć tutejszą przyzna, że Wiedeńka mogłaby bezpiecznie schować na plecach pod suknią jeżeli nie jedno ze swoich miluchnych niemowlętek, to przynajmniej spory bochen chleba prądniczego, czego przyczyną jest nie tyle zamiłowanie w wygodnym ubraniu, ile raczej powszechny zwyczaj kupowania gotowej odzieży zamiast robienia jej w domu lub zamawiania u krawców. Zły krój jednak niczem jest jeszcze w porównaniu z fatalnymi przycepkami najniestosowniejszego koloru, z którymi nigdy oswoić się nie zdoła oko nawykłe do klasycznego gustu naszych niewiast. Młode tylko dziewczęta, ma się rozumieć dopóki nie pokażą ząbków, wyglądają jako tako, ale to dla tego bo je młodość zdobi, bo młodość sama w sobie tyle ma wdzięków że i workiem okryta, zawsze będzie powabną. Wracając do toilet balowych winienem wspomnieć jeszcze iż suknie i domina z ogonami niezmierniej długości bardzo były w modzie. Jedno z pism miejscowych wystąpiło energicznie przeciwko takiemu marnotrawstwu jedwabiu i koronek, ale bezskutecznie. „Takie wlokące się zjawiska“ powiada autor rzeczonoż artykułu, potrzebują cztery razy więcej miejsca niż zwykli śmiertelnicy, słusznie by więc było aby przedsiębiorcy balu pobierali od nich czterokrotną takse. Damy te, powiada dalej Niemiec, mają powiększej części bardzo wielkie i brzydkie nogi i aby je zakryć, skazują innych uczestników balu na polykanie kurzu.

Na jednym z balów maskowych w sali towarzysztwa muzycznego, odegrała się bardzo zajmująca scena. W jednej z łóż ugrupował się cały obecny na balu elegancki świat mężki w około dwóch domin damskich, które tryskając humorem i dowcipem satyrycznym wywołały ożywioną konwersację, prowadzoną prawie we wszystkich językach nowożytnych. Był to prawdziwy ogień krzyżowy słów. Jakiś Amerykanin odłożył swój wyjazd do ojczyzny, byle na następnym balu zejść się raz jeszcze z temi czarodziejkami. Pewien bankier ujrawszy piękną małą rękę jedną z nich, mniemał że poznał w niej

spiewaczkę z opery i założył się o tysiąc guldenów że tak jest w istocie. Wkrótce jednak pokazało się że był w błędzie. Zona tego który wygrał zakład, ofiarowała jej przepyszny swój bukiet w kosztownej oprawie na pamiątkę miłe spędzonych chwil.

Z wielką niecierpliwością oczekiwano tu przedstawienia zapowiedzianej oddawna operetki Jana Straussa „Indigo und vierzig Räuber“ obiegały bowiem o niej bardzo pochlebne wieści. Nareszcie doczekaliśmy się przedstawienia a rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania. Do ułożenia tekstu posłużyła historia Alibaby z Tysiąc i jednej nocy. Jest to satyra na złe rządy. Król Macassaru imieniem Indigo przekonany jest, że ponieważ urodził się królem może więc wszystko nawet pleść nie do rzeczy. Gdy bogowie nie dali mu zwycięstwa nad rozbójnikami, robi się bogiem i dziwno mu że nie może rzucić piorunów. Ministrowie kradną niemilosierdzie dochody państwa, a o sprawy rządowe niedbają do tego stopnia, że minister policji wtedy dopiero dowiadyuje się o zbrodniarzu, gdy ten już dawno uciekł. W podobnie satyrycznym świetle przedstawiony jest arcykapłan, reprezentujący najwyższą zwierzchność duchowną tego kraju. Prócz tego występuje na scenie mnóstwo innych figur komicznych, między innymi handlarz bydła z osłem. Fantaska i jej kochanek Janio oboje Wiedeńscy, zablakawszy się w Makassarze, stanowią poniekąd oś, koło której akcja się obraca. Indigo chce zrobić Fantaskę swoją faworytą i trzyma ją w seraju, lecz ta w końcu ucieka z swoim Janio. Wystawa przewyższa wszystko co dotychczas widziano na tutejszych scenach, przyjęto też sztukę z niesłychanym zapalem. Jan Strauss zrobił tryumf prawdziwy i jeżeli wytrwa na tem nowem polu, zażmi zapewne z czasem sławę Offenbacha.

Pan Karol Klic, genialny rysownik wychodzącego tu czasopisma humorystycznego „Floh“ zapowiedział że w połowie marca da dwa koncerty rysunkowe. Ma on w obec publiczności wykonywać na sztalugach najrozmaitsze rysunki na poczekaniu, jakby za dotknięciem papieru laską czarodziejską.

W przyszłym liście nie omieszkam zdać sprawę o tym osobliwym koncercie.

St. Nowiński.

LISTY Z WŁOCH

Tadeusza Jerzego Steckiego.

III.

Florencja 1871 r.

„Wrzawa, śmiech pusty
Czy znasz Weneckie zapusty?“

Gdy karnawał konał, czem bliższą była godzina jego skonu, tem większy szal ogarniał Florentczyków. Starzy i młodzi, panowie i lud, wszystko na ulicach — wszystko obsypane mączką cukrową, tradycyjnymi *confetti*. Mój Boże, spojrzawszy dokoła, chciałoby się zapytać tych ludzi, co ich tak bardzo do wesołości usposabia? Szaleje kto może, komu służą nogi — ha! a więc na zdrowie, kiedy już świat taki.

Florencja od czasu jak została stolicą, skosmopolityzowała się po trochu — to też i charakter jej karnawału stracił nieco swą cechę, mniej ma barwy narodowej, niż w innych miastach włoskich, po Weneccji, Rzymie i Medjolanie, zaledwie czwartorzędne trzyma miejsce. Mniej tu masek, mniej ulicznych poliszynelków, zabawy więcej skoncentrowane w salonach możnych — a jednak niedzielne *Corso* zgromadza tu zwykłe tłumy — wszystkie stany bez różnicy biorą w niem udział, poliszynelki ocierają się o koronki i jedwabie pięknych pań — szczęśliwi że choć raz w rok zbliżka mogą zajrzeć oko w oko swym hrabiom i książętom, którzy w swych złocistych galowych pojazdach z ukostiumowaną liberją weiskają się w ich tłumy, mięszają do ich zabaw, sypnąc im mączką w oczy w odwecie za niejedno może upokorzenie, za nie jedną w ciągu roku doznana zniewagę. Pomimo jednak swęj barwy stołecznej — która star-

ja nieco jej charakter narodowy. — Florencja w pewnych danych chwilach, występuje z niem na jaw, a jakby wstydząc się zapomnienia tradycji — z lubością, *con amore* wskrzesza swe narodowe obyczaje i pamiątki. Jedną z takich chwil jest karnawał tutejszy — mniej może urozmaicony od Rzymskiego lub Weneckiego — zawsze jednak charakterystyczny włoski z wieczystą pra-starą swą rutyną z larwą, poliszynelem i maczką. Stolica i pierwsza lepsza włoska miasteczka bez karnawału — to jakby ciało bez życia — jak Warszawa bez Bielan lub wianków S-to Jańskich. Przechowały się tu i niektóre kościelne lokalne tradycje i obrządku, które przeżyły nawet władzę doczesną, Papieżów, a liberalne rządy wyrugować ich nie były w stanie.

Zniesiono tu naprzykład święcenie Gromnicznej N. P. (nie wiemy dla jakich powodów) a jednak w ten dzień, prócz kawiarni i dystrybucji, ani jednego zakładu, ani jednego sklepu otwartym nie widzieliśmy. Lud tak chciał, bo tego chciała wiekowa tradycja. Z miejscowych uroczystości religijnych, dwie nam mianowicie utkwiły w pamięci z rzędu prawie dzień po dniu obchodzone: na św. Antoniego Opata (d. 18 Stycznia) i w dzień S. Sebastjana (d. 20 Stycznia) S. Antoni uważany tu jest za patrona zwierząt domowych. W ten dzień święcą chleby, które w ogromnych stosach pod kościołami sprzedawane kupują właściciele wszelkich bydła domowych mianowicie zaś stangreci, którzy je roznoszą potem po domach w których bywają ze swemi panami, za co zwykle wynagradzani bywają. Dzień S. Sebastjana jest doroczną uroczystością Kapturników, braćmi miłosierdzia, także *capri-guardia* tu zwanemi, jedynej w całych Włoszech, najpiękniejszej instytucji jaką Florencja posiada. Na ulicy wśród białego dnia spotykasz tu często gromadkę 8 do 10 ludzi, okrytych czarnymi płaszczami, w kapturach na głowie, z małemi tylko dla oczów otworami. Ludzie ci ubrojeni w pozapalne pochodnie, szybko przemykają się przez ulice, unosząc na barkach rodzaj krytej lektyki pokrytej czarnym sukniem, kształtem trumny przypominającej, z chorym którego do szpitala przewożą lub rzedzysie z trupem którego tym sposobem do cementarnej kaplicy przeprowadzają. Są to owi Kapturnicy, których jedynym zajęciem jest spełnienie tych smutnych posług ludzkości na których życie swe pędzą zjawiając się jakby z pod ziemi, czy na ulicy przy jakimkolwiek bądź wypadku czy w domach prywatnych, słowem wszędzie gdzie pomocy ich zachodzi potrzeba. Bractwo to ma swój klasztor we Florencji i kościółek, w którym w uroczystość patrona, S. Sebastjana, solenne przy wielkiej cizbie ludu odprawia się nabożeństwo. Chleb i tu jest symbolem, po poświęceniu rozdają go ludowi, który go do domów zabiera: dla piekarzy dzień ten obfite przynosi żniwo, bo do kilkunastu tysięcy takich chlebów rozchodzi się. Po nabożeństwie członkowie bractwa, otrzymują zwykle jakiś święty obrazek: w tym roku kosztem miasta rozdano im srebrne pamiątkowe medale.

Od poważnych religijnych obrzędów — przejdźmy na inny świat, do teatru, boć to ulubiona, namiętna Włochów rozrywka. Sama Florencja posiada ich do dwunastu — a w tej liczbie aż trzy opery, na rozmaite skały i na rozmaite kieszenie. Włoch z natury swój muzykalny intuicja khyta i rozróżnia tony, szepczą mu je jego cyprysowe gaje, wiatr ze starych ruin nanosi i wyrasta, rodzi się w jego duszy poczucie melodji, harmonji, sam o tem nie wiedząc staje się maestrem. Instynktowie także wyrabia się w nim krytycyzm muzyczny, to też nie dziwiłbyśmy się słysząc nieraz w czasie przedstawień w operze, z galerji, z koła *popolanów* dolatujące sykania za lada najmniejszym fałszem muzycznym, jak i oklaski najlepszych kawałków partytury. Komedja — zarówno może zajmują Włocha; gorąca jego natura patra namiętnościami, nie poprzestaje na wypadkach każdodziennych żywota, żywszej akcji mu potrzeba obleczonej w formę dramatyczną, bo w niej widzi odbłysek własnego życia, jego burz i palącej, nieustanniej gorączki. Artystów też mają wybornych a sędziwa Ristori w tym roku jeszcze na scenie Florenckiej żywe zbierała oklaski. Teatr francuzki we Florencji — zbierana drużyna rozproszonych scen paryżkich, urządzony i postawiony jako tako, ściągając tej zimy wykształconszą wyższych klas publiczność tutejszą. I tu i we włoskich teatrach skarżono się tylko na brak nowości, na stary wyczerpany repertuar. Już to od nowości teatralnych odwykliśmy oddawna i tu i na całym świecie podobno

niedostarczała ich nawet w ostatnich błogich swych czasach szcudra dramaturgja francuzka. W Niemczech, we Włoszech, w Hiszpanji zarówno jak i we Francji — literatura ta upadła widocznie, przyczyn jednak tego upadku nie w opieszałości pisarzy dramatycznych szukać należy. Leżą one głębiej, wpływają z warunków życia społecznego, świat na swych podstawach wstrząsnąć się musiał i ogólnemu uleść kataklizmowi, aby nam wydać nowych Sofoklesów, Szekspirów i Moliarów. Pozwólcie podzielić się z wami parą psychicznemi uwagami, jakie nam ten przedmiot na myśl naprowadza.

Teatr, jeśli nań zapytrywać się zechcemy z poważnego, przenaieżnego mu stanowiska, zajmuje niezaprzeczenie w dziedzinie nauki zakres niezmiernie szczyplwy i ograniczony. Zadaniem jego mają być studia charakterów ludzkich, owoż charakter człowieka, pomimo wszystko co w tej mierze prawia moralisci, jest jedną z najmniej może urozmaiconych kreacji w naturze. Ułomności zarówno jak i przymioty człowieka są jakby suchą gammą muzyczną, do której zaledwie tylko nieznaczające odmiany i modulacje wcisnąć się dają. Kościół wyliczywszy siedm grzechów głównych, ustanowił jakby zasadę, podstawę — *basis* tej gammie, z której przy największych usiłowaniach wyjść już niepodobna. Dają się w niej pochwyć niektóre odcienia, kombinacje, kontrasty, ale nuta, melodia pozostanie zawsze ta sama. Ztąd teatr nowożytny, odtwarzając społeczeństwo, którego wydatniejsze cechy oddawna już zarysowane, a któremu w udziale dostały się już same tylko odcienia z każdym dniem słabsze i więcej rozwodnione, nie dziw że do wysokości sztuki dramatycznej podnieść się nie może.

Weźmy naprzykład scenę francuzką — najbogatszą, najplodniejszą do ostatnich czasów. Oto wielki Moliere stworzył typ Skapca — i któżby po nim ważył się go jeszcze na scenę wprowadzać. Jest to więc typ już przepadły dla nowożytnych autorów, zarówno jak i typ hipokryty, który po Tartuffie bodaj czy kto jeszcze odwzorowywać ośmielił się tak: więc studia dwóch wielkich, wydatnych wad społecznych, wyczerpnięte zupełnie. Zrozumieli to dobrze nowsi pisarze dramatyczni, sam nawet Scribó, którego cały teatr, jeśli mu się tylko zbliska przypatrzemy, jest tylko długim szeregiem historyjek, zrzecznie i z talentem akcja ożywionych. Akcja jest tu na pierwszym planie typy — zaś charaktery, nieznaczające, podrzędne tylko grają rolę, gdy przeciwnie, u wielkich mistrzów przed nauką typów, przed studjami charakterów ustępowało wszystko, na akcją nie zwracano prawie uwagi. Niektórzy pisarze tegoczesni wzięli się do studjów socjalnych jak Dumas i syn, inni wprowadzali na scenę politykę jak Augier: inni znowu z niepospolitym talentem i z drobiazgową badawczością śledzili kontrasta, dobadywali się odcieni o których przed chwilą mówiliśmy, jak np. tenże Dumas w *Dame aux camélias* i w *Demi-monde*. Rezultatem tych usiłowań a raczej wysilen nowoczesnej dramaturgji, było to tylko, że utwory tych panów pojęte i oceniane w kole z którego były poczęte, stawały się alfa i omega już nietylko po za granicami swjej ojczyzny, ale nawet w drugiej częstokroć prowincji. Tartuffe jest i pozostanie Tartuffem, tak dobrze w Paryżu, jak w Warszawie, w Petersburgu, w Rio-Janeiro nawet. O *Demi-monde* już tego powiedzieć nie można. Kto nie żył w Paryżu, długo, stale, kto nie otał się o typy autora, zrozumieć ich nigdy nie będzie w stanie; nie rozumieją tych figur nawet w Warszawie, gdzie się jak cienie chińskie przemykają niekiedy. *Frou-frou* w ostatnich czasach w Paryżu, wywołał entuzjazm niesłychany, gdy tymczasem na tutejszej scenie to przedstawienie nie obudziło najmniejszego zajęcia: widzieliśmy Włochów ziewających na dobre po podniesieniu kurtyny. Nikt może zrzeczniej jak Sardou najplodniejszy z dramaturgów tegoczesnych we Francji, nie przerzucał się z obozu do obozu śledząc, szpiegując najmniejszą tendencję społeczną, nikt lepij w myśl publiczności trafiać nie umiał. To też w jego autorskim żywocie natrafiamy na trzy aż wydatniejsze rodzaje, po których z równą zrzecznością przeslizgiwał się. W początkach zawodu swego poszedł po śladach Scribego (*Les Patentes de mouche*) Scribe sam go nazywał „sprytnym chłopakiem, który daleko zajść może“. Zobaczywszy jednak że szkoła jego mistrza z mody wychodził zacyza, ze znaną swą łatwością assymilacji, pochwylił rodzaj Dumasa, wziął się do malunku odcieni i napisał „*Nos intimes*“ i „*Les Ganaches*“. Ostatecznie jeszcze raz przerzucił się, przerabiając wiel-

kie męzkie typy Molierowskie na kobiece. Do tej epoki należy jeden z ostatnich jego utworów „*La Dévote*“ po prostu Tartuffe w spódnicy, zastosowany do warunków i potrzeb XIX wieku. Poczekajcie tylko a da nam jeszcze jakąś „*Madame Harpagon*.“ Zabięgliśmy daleko, odszukując rzeczywistych przyczyn upadku i jałowości dzisiejszego teatru, nie sędzimy jednak aby nas o paradoksa posadzono. Posłużyliśmy się przykładami z dramaturgji francuzkiej, bo naprawdę ta jedna tylko żyła jeszcze ostatniemi czasy. (1) U nas ubogo, ubożuchno na tem polu: nasz Moliere, unikat, to stary Fredro a ś. p. Korzeniowski jedynym i najlepszym jego naśladowcą; namaby to jeszcze pola nie zabrakło, ale żeńców niedostatek.

Wojna obecna wywołała niezliczoną ilość pism i broszur polemicznych — jak żadna może z wojen współczesnych. Publicyści, nie czekając jej rozwiązania, kolejno występowali z poglądami na obustronne stosunki walczących mocarstw, tworzyli wnioski, pociągami pióra rozstrzygali ich losy i przyszłość. Niektóre z tych pism mają więcej niż czasową wartość: staną się z czasem materialem dla dziejopisów tej strasznej, spełniającej się przy schyłku XIX stulecia walki. Do takich, prócz wymienionych kilku pism w przeszłym naszym liście, należą: *Lettres sur la Guerre de 1870 par Ad. Franck* *membre de l'Institut de France*, wydane świeżo w Medjolanie. Autor tych listów był na wysokości swego zadania, to też nie wahał się adresować je wprost do Cesarza Wilhelma; którego siłą słowa i głębokim uczuciem patriotyzmu, jeśli go tylko doszły, niezawodnie zająć musiały.

W Brukselli pod pseudonymem margrabiego de Gricourt, wydał obecnie Napoleon III broszurę pod tytułem: *Des relations de la France avec l'Allemagne sous Napoleon III*. Druga jego broszura z którą zwierzył się swym poufny, a która niebawem ma się ukazać, ma traktować o organizacji wojskowej francuzkiej w stosunku do niemieckiej (sic?). Każda wojna, mówi ex-cesarz przyczynia się do demoralizacji żołnierza, ale to jednak nie dosięga innych warstw społeczeństwa, gdyż jak we Francji nurtuje tylko w armji stalej. Po zawarciu pokoju żołnierz pozostając przy pułku, pod karną dyscypliną wojskową, otrzasa się łatwo z nałogów wojny wyrobionych, a potęga praw znowu jak dawniej żywo staje mu przed oczyma. W Niemczech rzecz inna, po wojnie żołnierz zrzuca cisnący go mundur i broń co mu ciążyła, powraca na łono rodziny, staje się na powrót obywatelem, członkiem społeczności, nie mając czasu pozbyć się nałogów i wpływów jakie w nim wojna z konieczności wyrobiła. W tem jest niebezpieczeństwo, w tem słaba strona systemu militarne w Niemczech. Oto ulubiona, wykołysana myśl Napoleona III, którą przeprowadza w swem dziele, myśl niezawodnie trafna, niemniej jednak podziwiamy chłodny sceptycyzm rozumowy człowieka, który w podobnych chwilach bawić się w tworzenie teorii umie.

W Paryżu pod okiem specjalnej w tym celu utworzonej komisji, wciąż jeszcze ogłaszają się akta i dokumenta znalezione w Tuillerjach po rewolucji Wrześniowej. Publikacja ta wychodzi pod tytułem *Papiers et correspondances secrètes de la famille*

(1) Na powody upadku sztuki dramatycznej, jakoby wynikłego z wyczerpania typów przez dawnych pisarzy, nie zgadzamy się z Szanownym naszym Korespondentem. Teatr nie samj tylko służy satyrze ale i obrazowaniu walki namiętności ludzkich, której każda jednostka, każda okoliczność w jakiej się w danej chwili znajduje, każdy czas w jakim żyje, nadaje odpowiednią barwę. Dla talentu więc prawdziwego, materiał to niewyczerpany, trzeba tylko umieć patrzeć i obrazować. Co do części satyrycznej, błędy i wady natury swjej wprowadzie nie zmieniają, ale w każdej społeczności przedstawiają się inaczej, czego obrazowanie nie może być uważanem za naśladowictwo. Jeżeli zatem satyryczność w tegoczesnych dramatach i komedjach upadła, i zastąpiona została mniej więcej zrzecznie przyprowadzoną intrygą, która może zająć ale nie działać dodatnio, to winą tego nie wyczerpanie przedmiotu, ale skążony gust publiczności i schlebianie mu piszących, brak odpowiednich pisarzy, co gardząc kuglarstwem literackim patrzyliby na społeczność okiem mędrca i moralisty.

Bonaparte—18-ty jęj fascykuł opuścił właśnie prasę i zawiera szeregówy na autentycznych cyfrach oparty bilans. Według niego wydano na rodzinę:

Hieronima Bonapartego	37,078,364 frank.
Lucjana Bonapartego	12,762,500 „
Na Murata	12,577,933 „
„ Księżnę Bacciochi	6,254,624 „
„ Panie B. Centamori i Bartolini	524,375 „

Razem 69,197,796 fr.

Niezależnie od tęg oficjalnęg publikacji, ukazała się temi dniami na widok publiczny, ciekawa w Bordeaux drukowana broszura p. H. Georges p. t. *Le Dossier de l'Empire*. Autor wiadomości swe czerpał u tegóż samego źródła, zawsze z tych nieszczęsnych papierów Tuilleryjskich, na które rękę położyła Rzeczpospolita. W 22-ch rozdziałach pan H. Georges zebrał mnóstwo ciekawych szczegółów o życiu prywatnem Bonapartych.

Na zakończenie tego przeglądu literatury bonapartystowskieg, słówko jeszcze o prześlicznęg książeczce włoskich poezji, wyszłych z pod pióra księżnęg Marji Bonaparte Valentini. Zbiorek ten ukazał się w tych dniach drukowany we Florencji p. t. *Margherita da Loviano* — legenda poetyczna. Autorka jest córka Lucjana Bonapartego, którego wielki cesarz zwykł był nazywać *vir probus* rodziny, wdową po p. Valentinim. Sliczne te poezje, zdradzają niepospolity, dojrzały talent pisarski, forma ich Aryostowska, język cudowny, bogactwo myśli i obrazowania ogromne. Nadewszystko prześliczny, pełen świeżości jest tu opis ustronia Margarytty Loviano, ustronia które następnie stało się siedzibą autorki, z religijną czcią przystrajaną i ozdabianą przez nią. Książka ta poświęconą jest ceniom wielkiego Cesarza, z następującemi kilku słowy dedykacji, które przytaczamy bo dają wyobrazenie o całości utworu i o pięknej poetycznej duszy autorki:

Ceniom Napoleona. Tobie, o wielki, poświęcam z sercem wzruszonem te rymy, utwory milczenia mojęj samotności, jak starożytni ofiarowywali Jowiszowi Gromonośnemu drobne jagnięta swych obór i owoce swych sadów.

Może w świecie duchów, podczas gdy rozmawiać będziesz z moim ojcem czczonęg pamięci, przyjmiesz hołd wuuiczki, która widzi w tobie wielkość swego rodu.

Przegląd muzyczny.

Koncerta A. Hermana i J. Wieniawskiego.

Po bardzo długim milczeniu pan Adam Herman zdecydował się nareszcie wystąpić publicznie. Dla czego artysta ten doszedłszy do szczytu prawie gry na wielonczeli, posiadłszy tajemnice mechanizmu o jakim niestyszający go wyobrażenia mieć nie mogą, zaledwie raz na rok występuje, jakby ukrywał się ze swoim talentem, trudno zaiste wytłomaczyć.

A jednakże p. H. ma czem zapełnić program nawet niejednego koncertu. Przedewszystkiem koncerta Romberga, które dotąd wzorem są kompozycji wielonczelowych, odtwarza najlepiej ze wszystkich wielonczelistów, gdyż układ lewęg ręki tego artysty, doskonałością swoją, prawie idealnym nazwać się może. Ułatwia on pokonywanie największych trudności, których nie brak w kompozycjach Romberga, a które są tego rodzaju, iż genialny nawet Servais, obawiał się pracować nad nimi uważając metodę jaką posiadał za niedostateczną. Pan H. zaś wykonywa wszystkie z jak największą swobodą tak że w grze jego najwyszukańsza trudność wydaje się łatwą co uważny słuchacz z łatwością ocenić jest w stanie. Obok tego stylu powaga gry artystę cechujące, nadają tym kompozycjom piętno zupełnego wykończenia: wykonywa je przytem wiernie, frazuje właściwie, w śpiewie jest spokojny i nie szpeci go dodatkami, floriturami dla zyskania efemerycznego poklasku. Dla tego więc znając zalety gry pana H.

czujemy żal do niego że rzadko się słyszeć daje, żal tem większy że wybór dzieł na ostatnim koncercie uważamy za niezbyt szczęśliwy. Dwie fantazje na jeden wieczór to trochę za wiele. Sądzymy iż w miejsce Souvenir de Rode należało dać coś poważnego, coby pożytek obok przyjemności przyniosło.

Mniejsze zaś rzeczy które pan H. wykonywał odznaczają się brakiem... myśli. Romans Vieuxtemps'a jest tylko powiązaniem znanych i zużytych frazesów. Mazurek zaś Modzelewskiego jest przeffanowaniem bardzo nieudatnem Szopena, z fortepianu na wiolonczelę. Dobór więc sztuk na tym koncercie był bardzo ubogi.

Taki jak pan H. artysta wie dobrze, że wystąpienie na koncercie musi mieć na celu nie tylko przyjemność ale i pożytek słuchaczy. Grając utwór klasyczny, dzieło sztuki, daje materiał do myślenia na długi czas i zmusza niejako do zastanawiania się nad intencjami kompozytora. Rzeczy zaś które pan H. wykonywał nie mając w sobie tęg żywotności, co jedno Allegro z koncertu Romberga, nie zostawiają po sobie nic, oprócz chwilowego podziwu nad tym, który wielkie trudności zwyciężył.

Koncert pana Wieniawskiego tem się głównie odznaczał że koncertant przeważnie w zbiorowęg występował muzyce. Mniej więc dawał zwracać na siebie uwagę, usuwając osobistość swoją na drugi plan, dla całości dzieł wykonywanych. Dodatnio to bardzo za artystą przemawia, zwłaszcza że Trio Rubinsztejna nieposlednęg wartości dzieło, a koncert Bacha na 3 fortepiany, pierwszy raz podobno Warszawa publicznie posłyszala. Wdzięczni jesteśmy za to panu Wieniawskiemu, że nas zapoznaje z dziełami tak ważnemi i pouczającemi.

Wykonanie tego koncertu ze wszech miar było dobre, tem godniejsze pochwały że bez dyrekcji. A niełatwa to rzecz tylu wykonawcom oddać równo, dzieło od początku do końca kontrapunkcyjne: zasługa także i kwintetowi smyczkowemu należy się w części, bo ważność tu jego odpowiada ważności partii fortepianowych. Jestto rozmowa między kwintetem a fortepianami i przez to stanowi wielką trudność w wykonaniu.

Za kontrast z Bachem uważać należy Orfeusz Liszta, poemat na dwa fortepiany. Co tam jest loicznym następstwem myśli, tu jest bezładem, tamto świeci blaskiem złota, to imitacją jego jest tylko. W Bachu widzimy jeden główny temat, który natchnieniem prowadzony stanowi myśl przewodnią około której tkanka imitacji kontrapunktycznych, obraca się bezustannie tworząc nierozrwaną całość. Modulacje więc są tu łagodne i loiczne, myśl spokojna i poważna, całość zaś budowy robi wrażenie gotyckieg świętyni.

W Orfeuszu zaś widzimy jeden temat przez wszystkie przeprowadzony tonacje — a wszystko tu jest bez związku i loiki, pełno błędów harmoniczych i rażących dyssonansów. Czuć w tem wszystkim rwanie się niespokojnego ducha, który goni za fałszywemi ideałami. I to ma być muzyką przyszłości!

Wolelibyśmy zamiast owęj przyszłęg a właściwie niedoszłęg muzyki, usłyszeć coś przeszłęg a zdrowego. Nie lubimy tych chorobliwych objawów ducha ludzkiego, których najpierwszym przedstawicielem jest dzisiaj Liszt, jako krańcowy zwolennik nowatorstwa. Również pan Wieniawski powinien był dać już pokój walcowi Liszta z Fausta. Raz go wykonać publicznie było dosyć, a pan W. powtarzając go na koncertach swoich nie okazał się ogłędnym w wyborze i układzie programu.

Z kompozycji Szopena artysta znakomicie wykonał Etiudę, Nokturny zaś nie mają widocznie tego szczęścia. Pytamy otwarcie co upoważnia pana W. do robienia zmian samowolnych w dziełach które wykonywa.

Nokturn F minor (op. 55 N. 1), ma to do siebie, że w pierwszęg zwłaszcza połowie jest cichy i skromny. Pan W. zaś począwszy od drugęg części pierwszego motywu, przeniósł nutę basową o oktawę niżej. Jakże to odmiennem stało się od założenia autora! Wiadoma to rzecz co stanowi bas w muzyce jako podstawa, otóż podstawę taką jeżeli się gra oktawą niżej lub gdy się podwaja, całkownie zmienić można myśl kompozycji, czyniąc harmonję rozle-

glejszą i jak tu w tym razie pozbawiając prostoty myśl pierwotną. Nokturn powyższy kończy się czterema jednakowemi akordami. Pan W. w drugim akordzie podwoił bas, a zamiast ostatniego wziął czyli dodał pasaż f major! Ciekawi bardzo jesteśmy czyby pan W. był zadowolony, gdyby słyszał jaką swoją kompozycję, z dodatkami samowolnemi wykonywaną?

Podobne zmienianie utworów muzycznych uważamy za nieposzanowanie dla sztuki, którego artysta taki jak pan W. dopuszczać się nie powinien.

Zygmunt Noskowski.

OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA SZTUK PIĘKNYCH.

Wysoka cena obrazów. — Buchbinder. — Horowitz. — J. Suchodolski. — Schoupe. — Milewski. — Mejsner. — Kossak. —

Śledząc rozwój naszego malarstwa od pewnego czasu coraz więcej interesującego publiczność, mimowoli dwa nasuwają się pytania: dlaczego artyści nasi zupełnie z prac swoich wyłączyli kopje? — i dlaczego prace swoje każą opłacać tysiącami, których wydanie ku ozdobie mieszkania i własnej przyjemności, tylko dla małej liczby osób jest możebne.

Dobra kopja równa się niemal oryginałowi, nie ubliża sztuce, a chroni artystę mniej twórczego od męczarni kompozycji, która niektórym przynajmniej z wielką przychodzącą trudnością, nosi na sobie wszelkie ślady wcale niepociągającego przymusu. Może brak dobrych oryginałów głównym jest powodem iż młodzi nasze malarze, od razu na samodzielną występują drogę, ale nie mamy arcydzieł kopjujemy co mamy, zwłaszcza że niezła kopja byle pięknej pracy, stokroć więcej warta od oryginału słabo obmyślanego.

Co do ceny, to znajdujemy często tam setki rubli gdzie nawet setki złotych byłyby zbytkiem niedarowanym. Setkami wreszcie nie tak łatwo szastać, dziś nawet panom trudniej to przychodzi, coż dopiero nie panom. Dlatego też sprzedaż obrazów niezmiernie u nas tępo idzie i raz wyszedłszy z pracowni malarza, przepadają bez wieści, jakby w przepaść walucone.

Kupują więc tylko niektórzy szczególni miłośnicy malarstwa i to rozpieczęceni po całym kraju, skoro spotkanie się z ich nabytkiem jest tak trudne. Czyżby więc zniżenie ceny i to znakomite niebyło korzystnym zarówno dla sztuki jak artystów. Tanie książki tysiącami rozchodzą się po kraju, i tysiącami dają światło tak upragnione: tanie obrazy przechodzą w ręce mniej zamożnych nie mniejszym cieszyliby się wpływem. Sądzymy że kwestja ta zasługuje na zwrócenie uwagi artystów.

Dla usprawiedliwienia uwag naszych, zaczniemy od obrazu p. Sawickiego Adolfa przedstawiającego młodego chłopca zabijającego węża. W pośród wzgórzystég okolicy zaośnieżetg lasem na skalistym brzegu nad ważkim strumieniem, siedzi młodzieniec przygotowany do wejścia do kąpielni. Z drugieg strony wąż zwinęty w kłębek z sykiem łeb podnosi grożąc napaścią: młodzieniec opierając nogę na przeciwnym brzegu trzyma kij wzniesiony w górę gotowy do uderzenia. Skromny autor równie skromnie pracę swą nazwał studjum, które głównie poświęcił odwzorowaniu budowy ciała młodzieńca. Pod tym względem niewiele mamy mu do zarzucenia, zdaje się tylko, że wyciągnięta noga jest cokolwiek za długa, a w każdym razie pozycja niezupełnie naturalna. Strumień zanadto wydaje się szerokim, aby młodzieniec siedząc na jednym jego brzegu mógł swobodnie nogę opierać na drugim. Przytem w całym układzie młodzieńca jest sztywność, jakby pozowanie naprzód obmyślane, nie ma w nim potrzebnej energii usprawiedliwiającej czyn który ma spełnić, słowem rzeczywiście jest to studjum dokonane dla wprawy i nauki w pośród otoczenia wiele pozostawiającego do życzenia. Mimo tego cena tego obrazu jakkolwiek dość obszernych rozmiarów, na czterysta rubli oznaczoną została. I któż go kupi?

(d. c. n.)

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM ŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Patrzyłam na nią z pewnego oddalenia i dziwny obraz stanął przed memi oczami. Widziałam jak stopniowo delikatne policzki mojej przyjaciółki marszczyły się i żółkły, czoło jej zachodziło licznymi bruzdami, oczy błękitne i mętnie spoglądały z pod zmarszczonej powieki, wiotka i zgrabna kibić pochylała się pod lat przeżytych ciężarem. I oto zamiast młodej, pięknej Heleny, siedziała tam na sofie stara kobieta, przed nią wisiała klatka z kanarkami i widniała za szybą kawałek błękitnego nieba, a ona patrząc na niebo to na ptaki szczebioczące w niewoli, drżącymi ustami szeptała: „postarzałam... życie przeżyłam sama jedna... nikt mnie nigdy nie kochał!...”

W parę dni po tych rozmowach na jednym z wielkich proszonych obiadów, p. Aleksander siedział obok mnie przy stole. Naiwna Józia siedziała także niedaleko, ale pogromiciel serc już na nią i uwagi prawie nie zwracał, a strzały owych spojrzeń i kłęby dymu buchające z kadzielnicy skierował na mnie. Ale ja nie byłam już tak naiwną jak Józia i nie dałam się wyprowadzić w pole. Na ogniste spojrzenia p. Aleksandra odpowiadałam śmiechem, a komplementa jego odpierałam żartami z czego wywiązywała się żywa szermierka słów i dowcipu. Pan Aleksander jednak ożywał się coraz bardziej, a w końcu obiadu powiedział mi, że nie ma na świecie nic bardziej czarującego, jak ironiczny uśmiech na osmnastoletnich ustach. Wstając od stołu spojrzałam mimochodem w zwierciadło, i zobaczyłam że w istocie po ustach moich błąkał się chwilami uśmiech ironji. Z gwarne go obiadu pojechaliśmy z matką na tańczący wieczór, a p. Aleksander tańczył ze mną dwa mazury i cztery kadryle, nosił mój wachlarz i gdy tańczyłam z kim innym opierał głowę na dłoni z miną człowieka pogrążonego w rozpacz. Tego wieczora Józia ani razu nie zaśmiała się z dowcipów p. Juliana i z trudnością powstrzymywała łzy, które kłębiły się pod spuszczonej powiekami, a ciotka jej w najgorszym była humorze. Za to ja byłam niezmiernie wesoła i ożywiona; czoło moje poczyniło zwieńczać się laurami, za tryumfalnym moim rydwanem postępowało dwóch już skrępowanych niewolników; p. Ignacy znany romantyk i p. Aleksander sławny serc pogromiciel. I każda prawie z towarzyszek moich ciągnęła za sobą rydwan podobny, a ta która go nie miała, czuła się upokorzona i czyniła wszystko co mogła, aby zostać tryumfatorką. Niektóre z nas przybawając do salonu przedstawiały widok istnego tryumfalnego wjazdu. Droga którą postępowały uścielała się przed nimi kwiatami grzeczności i dymem kadzideł; w koło nich sypały się strzały gorejących spojrzeń, za nimi szli przykuci do tryumfalnego wozu przemienieni w więźniów rycerze, jak za wodzem Rzymskim pogromieni Scytowie.

Lecz niestety, i cóż jest trwałego na ziemi!

Tryumfy towarzyszek moich podlegały różnym kolejom losu, bo pogromieni Scytowie nie lubili długo zostawać w niewoli, i wydobywszy się z więzów rozpraszali się w różne strony, aby szukać dla siebie podobojów. Ale tryumfatorka nie zrzekała się przeto swój chwały, i w innym końcu salonu zbierała sobie na nowo zastęp niewolników.

Obok tryumfatorek zjawiali się także często i tryumfatorowie tem różniący się od pierwszych, iż nie prowadzili za sobą więźniów w całych postaciach, ale tylko mnóstwo par oczów kobiecych, które ścigając ich kędy się obrócili, i mnóstwo uśmiechów różnanych ustek które biegły na ich spotkanie. Każdy z takich tryumfatorów okazywał się wspaniałomyślnym zwycięzcą. Przechadzał się on zwykle od jednej ze ścigających go par oczu do drugiej, i każdej z nich podawał czarę z usypiającym napojem, szczerze i sprawiedliwie obdzielając wszystkie haustami opium. Niekiedy zdarzało się spostrzegać parę ludzi wyłącznie sobą zajętych.

— Pan X. zakochany w pannie X. mówiono wtedy.

— Gdzie tam! odpowiadało kilka głosów; on tylko bawi się, to sławny bałamut.

Innym razem przypuszczano odwrotnie, że panna X. zakochana w panu X. a wtedy dawała się słyszeć choralna odpowiedź ludzi znających zblizka osobę o której była mowa:

— Gdzie tam! ona się tylko bawi, to znana bałamutka!

Niekiedy jako wariant dawały się słyszeć rozmowy:

— Czy widzisz jak panna G. zajęta jest panem K?

— Gdzie tam! ona nie ma dla niego najmniejszej sympatji.

— Więc dla czegoż z takim ożywieniem rozmawia z nim zwykle?

— Ba! alboż nie wiesz że p. K. to dobra partja! Albo na odwrót: — czy spostrzegasz jak pan X. szalenie rozkochał się w pannie I? — Ha, ha, ha! zkadze ci to mniemanie.

— Przecie widzisz jak na nią patrzy z zajęciem, jak ciągle tańczy z nią i rozmawia, jak nieustannie ją szuka.

— Nic nad to prostszego. Pan X. zostawił swój fundusz nad brzegami Wisły i Sekwany, a panna I. posiada znaczny posąg zamknięty w pugilaresie bogatego bezdzietnego stryja.

Młode mężatki należące do naszego bawiącego się koła, nie ustępowały ni na krok pannom we wszystkich tego rodzaju zabawach. Tylko, że tak jedne jak drugie miały wyłączne chwile, w których mogły ukazać się najkorzystniej dla siebie, a przysługiwały im w ten sposób rozmaite rodzaje czyli kategorie zabaw.

Kategorie tych, oprócz ceremonialnych wizyt i proszonych obiadów, które stanowiły niestykane nudną kategorię, było dwie: jedną z nich składały tak zwane małe herbaty dawane tygodniowo przez różne domy w dniach specjalnie ku temu przeznaczonych; drugą były tańczące wieczory i bale.

Otóż małe herbaty czyli wieczorki tygodniowe, obywateli się zazwyczaj bez tańców a mając za główne tło zabawy rozmowę, przedstawiały pole popisu dla mężatek, a panny usuwały w cień wielce im niekorzystny. Na takich wieczorkach gospodyni domu zasiadała na kanapie z poważnymi paniami. Z dwóch

stron kanapy siadywały na fotelach młode mężatki, a dalej już na krzesłach blisko siebie stojących, umieszczały się panny tworząc wielki wieniec kolorowych sukien i milczących twarzy. Mężczyźni otaczali rojem ten żeński areopag, ale niestety, grupowali się w największej ilości nie w koło milczącego wieńca panien, ale w pobliżu bardzo ożywionych fotelów na których tronowały młode mężatki.

Rozmowy toczyły się o różnych bieżących wiadomościach miejskich, o najświeższych przedstawieniach teatralnych i publikacjach literackich, niekiedy o muzyce, poezji, kwestjach społecznych lub psychologicznych. Mężatki świetniały wymową i dowcipem, każda z nich śmiało wypowiadała swe zdanie, twierdziła i zaprzeczała jak jej się podobało, z doświadczeń przebytych i znajomości świata wyciągała przeróżne wnioski, które zabarwione iskrą dowcipu i odrobiną umiarkowanej konwenansu poezji, krzyżowały się, migotały, pobudzały wesołość lub admirację. Panny milczały.

Mężczyźni stopniowo i coraz bardziej wciągani bywali w ożywioną rozmowę, najmniej nawet myślący i ukształceni ulegali powabowi dowcipu i grupowali się coraz liczniej w koło fotelów mężatek, zamieniając z nimi zdania i spostrzeżenia; panny milczały.

Czoła mężatek okrywały się coraz gęstszymi laurami, wszystkie admiracje sypały się pod ich stopy: panny patrzyły, słuchały i milczały:

Milczały i zazdrościły mężatom swobody z jaką mówić miały one prawo, wtedy gdy wiadomą przecie było rzeczą, że dobrze wychowanej pannie odzywać się ze swem zdaniem a mianowicie w licznej towarzystwie, było to popełniać wykroczenie przeciwko kodeksowi zwyczajów i konwenansów.

A do tego trzeba było jeszcze siedzieć prosto, miarkować spojrzenia tak, aby i one nie przekroczyły czasem którego z artykułów kodeksu, i ze stereotypowym uśmiechem na twarzy, patrzeć jak mężatki spychały nas z tryumfalnych wozów i zasiadały na nich same, w imię śmiałości swój i przyjemnej rozmowy.

Na takich wieczorach nawet p. Alfred nie szukał zielonego stołu do preferansa, ale z wielkim zajęciem rozmawiał z panią Julją o różnych cechach obcych krajów, które zwiedzali oboje: p. Ignacy zapomniał o pozowaniu i bardzo żywo analizował z panią Natalją wszelkie odcienia uczuć ludzkich: pan Juljan dysputował z panią Aliną o francuzkich i angielskich powieściach i rozumiejsze niż zwykle miewał dowcipy: pan Aleksander zaś na prawdę zapomniał o gromieniu serc, a długie wiódł rozmowy z panią Kamillą o muzyce i malarstwie. Panny słuchały i milczały, bo mięszać się do rozmowy zabraniał im obyczaj a nawet gdyby i nie ten obyczaj, trudno by im było bardzo mówić o rzeczach, o których, z takim wdziękiem i wprawą rozmawiały mężatki.

I, o wstydzie! Żaden z mężczyzn nie próbował nawet nie rozmowy przeciągnąć aż w to milczące koło dziewiczych sukien i twarzy. Bo i o czemże zagadać do nas mogli? O kwestjach społecznych? myśmy ich nie rozumiały. O kwestjach uczuć? mówić o uczuciach było dla nas rzeczą nieprzyzwyczajoną? O sztukach? myśmy wprawdzie wszystkie umiały grać na fortepianie, ale prócz tytułów kompozycji muzycznych i nazwisk kompozytorów, nie a nie więcej nie wiedziałyśmy o muzyce. O literaturze? Czytywałyśmy tylko powieści i romanse i to tyl-

ko pobieżnie, przesuując kartki i szukając co prędzej rozdziału, w którym Numa idzie do ołtarza z Pompiljuszem.

Słuchaliśmy tedy i milczały, a mężczyźni rzucali nam tylko niby jałmużnę słówko jakie urwane, pobieżne zapytanie albo spojrzenie zaprawione rozmazaniem, i zaraz potem zwracali się do mężatek.

Mimowoli pomyślałam sobie parę razy, że gdyby panny umiały tak rozmawiać jak mężatki, gdyby mogły i potrafiły umysł mężczyzn zainteresować, myśl ich w ruch wprowadzić, możeby p. Alfred nigdy nie szukał preferansa jako antidotum nudy, p. Ignacy możeby na zawsze o pozowaniu zapomniał a p. Aleksander przestał być pogromicielem serc niewieścich. A gdyby i wszyscy podobni im ludzie, łączyli się z nami zamianą myśli i mieli możność czytania w sercach naszych, możeby się zdruzgotwały na wieki rydwany tryumfatorów i tryumfatorek, czary z narkotykiem przelotnych wrażeń zostały wyrzucone za okno, a ludzie przestaliby się bawić w miłość jak w piłkę.

Pia desideria! tworzyłam je sobie w cichości ducha, a tymczasem siedząc prosto robiłam jak robiły inne, to jest milczałam i patrzyłam zrezygnowanem okiem, jak pani Natalja i pani Kamilla odpręgały od mego woza więźniów moich i okuwały ich swemi więzami... do czasu.

Tak, do czasu! albowiem przychodziła i dla nas pora odwetu, a były nią tańczące wieczory i bale. Nie ma jak tańcząca zabawa dla panny, która pragnie pokazać się i triumfować. Tu gdzie idzie o wykaz wdzięków i choreograficzne popisy, żadna już nie prześcignie ją mężatka. Tu w wartkim walcu karminowy rumieniec oblewa lica, w kadrjlu z nieporównanym powabem miękko falują kształty, tu można rozwinąć zwinność gazeli i majestatyczną grację księżniczki, tu niestrzeżona obfitych umysłowych zasobów aby prowadzić interesującą rozmowę, bo sam już taniec niepozwała na tworzenie długich frazów, a muzyka i ruch wybornie wtorują krótkim wyrywaniem wyrazom, które wylatują z ust jak drobne race i lecą w przestrzeń aby w sercach zapalać... fajerwerki. W czasie gdy mężatka zamyślona nieco, zwiędła już trochę, niekiedy tańcząc i bawiąc się, wciąż się ogląda na męża, który w przyległym pokoju grając w preferansa od czasu do czasu rzuca na nią przeze drzwi spojrzenia, panna świeża, zwinna, swobodna jeszcze od matrymonjalnych więzów, prowadzi w tańcu réj tryumfalny, obdarzając jednego uśmiechem, drugiego spojrzeniem, trzeciego kwiatkiem wypadłym z bukietu, a krąży w koło wszystkich jak listek róży wiatrem porwany i igrający z rojem motylów.

Tańcząca zabawa to żywioł w którym panna kąpie się jak ryba w wodzie. Grzmi muzyka, szeleszczą suknie, wonią kwiaty, olśniewa światło, we wszystkich oczach palą się ognie sztuczne, bawmy się więc tańczmy!

Za nami postępuje wielki szereg mężczyzn młodych. Rzucamy pomiędzy nich piłkę na której gzyzakami podobnemi do błyskawic wypisany wyraz miłość: kto ją pochwyci? A tam dalej z innej grupy mężczyzn ku nam podobna leci piłka. Chwytajmy na wyścigi! Jaka to gra wesoła! Piłka przechodzi z ręki do ręki a od niej w różne strony rozlatują się strzały, nikną za połami czarnych fraków i stanikami przezroczytych sukien, zda ci się że mnóstwo już serc przebiły, gdzie tam! oto znów lecą w powietrzu każda do innego celu.

Dwa miesiące nie minęły gdy i ja w ten sam sposób bawić się zaczęłam; chwytalam piłkę, odpierałam ją i rozrzucalam strzały na wsze strony...

Każde wejście moje na salon było wjazdem tryumfalnym, a niewolników moich i liczyć już przesta-

łam, bo byłaby to próżna fatyga. Liczba ich bowiem zmieniała się codziennie stojąc się to mniejszą to większą, lecz zawsze była znaczną. Bawiłam się wybornie i czasem tylko, gdy na chwilę zostawałam sama jedna, zdawało mi się że coś odmieniło się we mnie, że czegoś nie dostawało w moich myślach co dawniej przecie w nich było, pustka jakaś zalegała piersi coraz szerzej... Krótkie to jednak były momenty po których następowały znowu szal i upojenie zabawy. Zapyta kto może, czy u końca zabaw tych widziałam cel jaki? czy dążyłam do czego? czy czego pragnęłam i wyglądałam niecierpliwie? Gdzie tam! Il faut bien faire passer son temps, n'est-ce pas messieurs?

XLV.

Nagle obudziłam się.

Był to dzień szczególnie ożywiony a zarazem pracy pełen, od rana już pracujące nie mogłyśmy jednak czasem nastarczyć. Oddaliśmy i przyjęliśmy kilka wizyt, uczestniczyliśmy na proszonym obiedzie, a wieczorem miałyśmy być na tygodniowej herbacie u pani Natalji.

Po powrocie z obiadu zdjawszy z siebie ciężkie obiadowe suknie, obie z matką dla wytechnienia rzuciłyśmy się na sofkę w gabinecie i czekając nim światła podadzą, wiodłyśmy z sobą o zmroku poufną a wesołą pogadankę. Toczyła się ona wyłącznie około zajęć i spraw salonowych. Obie z matką posiadając dar spostrzegawczy, udzielałyśmy sobie rozmaitych uwag spostrzeżeń poczynionych na otaczających nas osobach, i tem zapełniałyśmy sobie krótkie i rzadkie chwile w których pozostawałyśmy same na sam. Tego dnia pogadanka nasza była bardzo wesoła, i właśnie z największem ożywieniem opowiadałam mojej matce o tem, jak na wczorajszym wieczorze p. Ignacy prześladował mię swemi bohaterскими pozami, a p. Aleksander wzdychał za mną wszędzie gdzie się tylko obróciła, gdy weszła do pokoju panna służąca niosąc na tacy kandelabre z zapalonemi świecami i list zaadresowany do mnie.

Wzięłam list ten w rękę i wpatrzyłam się w pismo na kopercie.

Z wyrazu mojej twarzy matka moja coś niezwykłego wyczytać musiała, bo zapytała mię dość żywo.

— Od kogo ten list, Wacławo?

— Od mego ojca, odrzekłam i rozłamalam pieczętkę; zarazem podniosłam oczy na moją matkę i spostrzegłam, że nachyliła się nagle i bardzo pilnie poprawiała sobie tunikę sukni, chociaż ta wybornie leżała niepotrzebując wcale poprawiania.

Usiadłam bliżej światła i czytałam.

List mego ojca był długi przychodził aż kędyś z Włoch południowych, gdzie po zwiedzeniu wielu innych krajów, przebywał mój ojciec w celu zbadania tamtejszej flory i fauny, oraz przypatrzenia się starożytnym wykopaliskom Pompei, zajmującym bardzo żywo wówczas cały świat uczony.

W prostych lecz dziwnie pięknych wyrazach, opisywał mi mój ojciec podróże swe po morzach i łądach, opowiadał o niebotycznych Alpach, wrzających ruchem ogromnych miastach, niezmiernych okien oceanach. W całym jednak długim tem piśmie, nie znalazłam tych przestrogi i nauk ojcowskich, których pełen był list odebrany przeze mnie od ojca w przeddzień opuszczenia pensji.

Zastanawiałam się właśnie nad tem, gdy przy końcu dopiero pisma spotkałam następne wyrazy będące odpowiedzią na list mój ostatni, w którym opisywałam mu pobyt mój z matką w mieście.

„Widzę Wacławo, pisał mój ojciec, że wyobraźnia

twoja porwana została wirem i gwarem który cię otoczył, i że pomimo to w chwili gdyś do mnie pisała, obudziła się w tobie rozważa i nasunęła ci pod pióro pytania i wątpliwości któremi podzieliłaś się ze mną. Cieszy mię w tobie ten objaw, gdyż oprócz dowodu twego do mnie zaufania, daje mi on jeszcze przeświadczenie, iż masz wrodzony sobie duch badania, pragnienie ujżenia prawdy i poryw do wszystkiego co dobre. Niemniej jednak nie będę teraz odpowiadał na pytania rozliczne jakie mi zadałaś, naprzód, że aby to uczynić, trzeba by tomy całe napisać, następnie dla tego, że nie chcę uchybiać matce twojej mieszając się do spraw twych wtedy, gdy zostajesz pod jej opieką. To mi tylko serce i obowiązek ojcowski powiedzieć nakazuje, wśród natłoku wrażeń jakich doświadczasz, kładnij często rękę na sercu i pytaj pilnie każdego rodzącego się uczucia, z kąd pochodzi, jakim jest jego źródło? A gdy na gwarniej i pełnej ruchu drodze na jakiej stoisz, przyjdzie ci posunąć się o krok dalej lub postępek jaki wykonać, szukaj wtedy chwili samotności, otrząśnij się z wpływu wrażeń i skupiwszy wszystką myśl swoją pytaj ją usilnie: ku jakiemu celowi doprowadzi cię krok jaki uczynić zamierzasz, i jaką wartość moralną posiada postępek którego jesteś bliską? Bo córko moja, tylko świadomość źródła z jakiego płyną uczucia nasze i celu do którego dążą postęпки, może ratować nas od popełnienia błędów okropnych, chronić serce od zepsucia i życie od złamania, bo ani szczęśliwym ani cnotliwym nie może być ten, kto niewie dla czego czuje i działa!

Po tych wyrazach donosił mi jeszcze ojciec mój, że za parę miesięcy wróci do kraju; kończył list słowami. „Jestem pewny że matka twoja dotrzyma danego mi słowa, i że gdy wrócę przybędziesz do mnie z kolei, aby i ze mną przepędzić czas pewien.“

Skończyłam czytać i ręce list trzymające w zamysleniu opuściłam na kolana. Dziwne ogarnęło mię wrażenie. Zdawało mi się jakoby przed chwilą pograżona była w śnie sprawionym przez użycie narkotyku, i że ktoś niewidzialny położył rękę na mojem ramieniu i przebudził mię nagle. Język mego ojca prosty, jedyny, a jednak podniosły i wspaniałego bogactwa pełen, tak szczególnie różnił się od tego jakim przemawiali otaczający mię ludzie. Obrazy jakie opisując swe podróże stawiał przed moją wyobraźnią, wyglądały jak olbrzymy obok tych na jakie codziennie patrzyłam! W obec postaci mego ojca wyłaniającej się z listu jego, jakże małymi wyglądali ci mężczyźni, którzy paląc przedemną kądziela ciągnęli mój wóz tryumfalny po ślizgich posadzkach salonu. Uczułam sama, że uśmiech ironji osiadał mi na ustach, gdy przy ojeu moim mężnym i dojrzałym pracowniku, stawiałam wyobraźnią tych błądzących paniczów narzekających na nudy i odpierających je preferansem, tych dowcipnisiów którym do zupełnego podobieństwa z nadwornemi błaznami dawnych czasów, brakowało tylko czapki z dzwoneczkami i — dowcipu, tych pogromiciele serc roznoszących po świecie czarę z odurzającym napojem wrażeń, tych romantyków o bohaterskich pozach przypominających lalki gipsowe co puste wewnątrz, zewnątrz stroną przedrzeźniają wielkich ludzi na wystawie sklepowej.

I cóż jednak sprawiało, że z tymi ludźmi których ułomności tak jasno stały przed memi oczami obok listu zapisanego ręką mego ojca, że z tymi ludźmi którzy nie mieli w sobie ani odrobiny podobieństwa do ideału co na dnie mojej wyobraźni spoczywał, dnie i wieczory schodziły mi tak szybko a wesoło? Dla czego każdy z nich miewał chwile w których czynił na mnie wrażenie przelotne jak błyskawica, wnet zastąpione innem lecz przykładające się do

ogólnej sumy wrażeń co mię porywały, upajały, usypiały niepojętym snem gorączkowym?

I oto rozbudzona słowami ojca myśl moja nagle a palące rzuciła mi pytanie: jakim było źródło tych wrażeń moich i do jakiego celu wiodły mię zabawy i błyskawiczne uciechy w jakich pograżoną zostałam?

Źródło i cel? Dwa te wyrazy stanęły przed mym duchem, a obok nich tkwił znak zapytania domagający się gwałtownie, abym skupiła myśli i samej sobie dała odpowiedź.

W coraz głębsze wpadając zamyślenie szklanym wzrokiem patrzyłam przed siebie, bo wzrok mój duszy obrócił się wewnątrz i niespokojnie ze zdumieniem i trwogą rachował uderzenia serca, które słabsze i radsze były jak wprzód i szukał myśli rozpierchłych kędyś po świecie, jak ptaki spłoszone, i z trudnością wracających do głowy mojej gdzie im ciasno i duszno było wśród dymów, które ją napępiały.

Nagle poczułam dotknięcie do ramienia, ocknęłam się z zadumy i spojrzałam. Przy mnie stała moja matka z twarzą pobladłą trochę, z głębokimi fałdami na czole i niepokojem grającym w oczach.

— Wacławo, rzekła, czy mogę przeczytać list twego ojca?

Dziwnie zabrzmiały słowa te w ustach mej matki. W głosie jakim mówiła była prośba złączona z tłumionym żalem, i niby pokora jakaś dziwna przy zwykłej jej dumie a dziwniejsza jeszcze przez to, że tkwiąca w słowach zwróconych do córki. Milcząc przycisnęłam do ust rękę matki i podałam jej pismo mego ojca.

Usiadła i czytać je zaczęła. Patrzyłam na nią przez chwilę, widziałam, że im dłużej czytała tem więcej twarz jej zachodziła wyrazem smutku zdającego się przemocą wydobywać z jej piersi, usta jej zdrząły parę razy i bardzo cicho wyszeptaly, „tak, zawsze ten sam”.

Poczułam że nie powinna była ciążyć w tej chwili nad matką uwaga moja, i pociechu wysunęłam się do drugiego pokoju. Tam czekała mię już Zosia z przygotowaną na wieczór toaletą. Machinalnie zaczęłam się ubierać ale wkładając suknię, przypinając koronki do stanika i wplatając kwiat we włosy, myślałam o liście mego ojca i zaledwie słyszałam szczebiotanie garderobnej, która robiąc różne uwagi nad moim strojem, dziwiła się roztargnieniu z jakim sie ubierałam na wieczór.

Gdy nakoniec skończywszy ubiór wróciłam do gabinetu, nie znalazłam już tam mojej matki, a list mego ojca leżał na stole. Wzięłam go do ręki chcąc raz jeszcze rzucić nań okiem, gdy na papierze zobaczyłam dwie drobne plamki świeżej wilgoci. Żywe światło świec palących się w kandelabrze, przegłądało się w tych plamkach mówiąc mi wyraźnie, że były one dwoma łzami które z oczu mojej matki na list upadły....

Długo stałam przy kandelabrach ze zwiśniami na suknię rękami, opadła na piersi głowa, czując w piersi drżenie uczuć różnych, w głowie natłok myśli które wracały do mnie z długiej podróży.

Tak czułam wyraźnie, że to com posiadała starczyć mi mogło tylko na chwilę upojenia i szału, ale że po ocknieniu najlepsza część mego ducha w inne rwała się sfery, ulatywała od tego co mię otaczało, ku czemuś dalekiemu, nieznanemu ale wielkiemu jak wszechświat Boży. Przycisnęłam list ojca do serca które odzyskało dawno gorące bicie i całą mię zdjęło niezmierne pragnienie ujrzenia, doświadczenia tych światła i tego ognia których przecucie nosiłam w duszy, a których łuna biła ku mnie ze słów ojcowskich.

Drzwi otworzyły się i lokaj oznajmił, że kareta do wyjazdu gotowa. Zamyśloni i milczący obje wsiadliśmy z moją matką do powozu i nie zamieni-

wszy z sobą żadnego słowa zajechałyśmy w bramę mieszkania pani Natalji.

Poraz pierwszy wstępując po szerokich i rześcicie oświetlonych wschodach, i słysząc w przedpokoju gwar licznego towarzystwa zebranego w salonach pytałam siebie: z jakiego źródła płynąć będzie ta uciecha jakiej doświadczę tam pośród blasku i tłumy? i jakim jest cel tej zabawy ku której dążę?

XLVI.

Zdawało mi się że wchodząc owego wieczoru do salonu pani Natalji wyższa byłam i głowę wyżej niosłam niż zwykle. Czułam że oczy moje gorące błyszczały a oddech pełniejszy był i szerszy. Szlachetne słowa z listu mego ojca szły za mną, krażyły nademną, wyprzedzały moje kroki i całą mnie napępiały prądami niezwykłej podniosłości ducha.

Towarzystwo zebrane już było w pełnym komplecie na tygodniową herbatę. Na kanapie jak zwykle królowały najpoważniejsze panie, przy nich na fotelach zasiadły młode mężatki, dalej rozwijał się uroczysty milczeniem a różno-barwny sukniami wieniec panien, a w koło siedzieli i stali mężczyźni różnego wieku.

Przechodząc salon spostrzegłam w znacznem oddaleniu od całego towarzystwa zostającego człowieka. Siedział on w rogu salonu na małej kozetce, a stojąca obok etażerka z nutami i z drugiej strony wysoki kosz pełen wazonowych roślin, rzucały cień na jego milczącą i osamotnioną postać. Widziałam, że miał głowę opartą na dłoni co mu nadawało zamyśloną postawę, ale twarzy jego nie dostrzegłam, bo miałam zaledwie czas pobieżnie nań rzucić okiem.

Gdy zamieniwszy na wsze strony powitania zasiadłam pomiędzy towarzyszkami, z większą niż zazwyczaj uwagą zaczęłam przypatrywać się grupie osób jaką miałam przed sobą. Nie wiem jaki Mefistofelowski duch przenikania i badania wstąpił we mnie, ale wszystkie władze mojej istoty przeszły w oczy, które przechodziły z kolei z jednej twarzy na drugą, tkwiąc upornie w każdej po chwil kilka. Ciekawym wzrokiem zagłądałam we wszystkie spojrzenia, pochwytywałam uśmiechy i grę fizjonomji, ścięgałam ruchy i gesta i szukałam... szukałam w nich ciągle tego, czego pragnęłam wewnątrz, oczekiwałam od nich dźwięku coby utworzył harmonję z uczuciami, jaki wieczoru tego napępiały mię samą. Niewiedziałam dokładnie jakimi miały być te litery ducha które wyczytać pragnęłam z całej siły, ale zdawało mi się, że na którejkolwiek z tych licznych twarzy znajdę oddźwięk uczuć moich, spełnienie pragnień niewyraźnych, wytłumaczenie przeczuć.....

Minęła godzina blisko tej milczącej kontemplacji i zmęczone natężeniem oczy moje spuściły się i spoczęły na tunice sukni.... Nic nie zobaczyłam innego nad to co widywałam oddawna, nic mię nie zaciękawiało, nic nie dało żadnej odpowiedzi. Cała bowiem zabawa szła zwyczajnym codziennym torem ściśniona obręczą zwyczaju i etykiety. Poważne na kanapie matrony ze sztywnymi postaciami a sztywniejszemi jeszcze sukniami z mory lub atlasu, spożywały konfitury zwolna i z powagą podnosząc do ust złoczone łyżeczki. Sentymentalna pani Natalja wiodła z p. Ignacym rozmowę o jakiejś zawiłej kwestji sercowej, której treść i rozwiązanie słyszałam już ze sto razy; żywa p. Kamila opowiadała panu Juljanowi o tem jak się przepysznie bawiła za granicą; pójująca na literatkę pani Alina unosiła się nad nowym jakimś francuzkim romansem przed p. Aleksandrem, który słuchając nie zapominał o rzucaniu

w różne strony grotów pogromczych spojrzeń: panny milczały powiewając wachlarzami lub jedząc konfitury.

Z zamyślenia wyrwaną zostałam zwróconemi do mnie a głośno wymówionemi słowami:

— Czy można zapytać pannę Wacławę, co ją w tak głęboką pograża zadumę?

Wyrazy te mówiła gospodyni domu a nie czekając na mą odpowiedź zaśmiała się i dodała:

— Już to jak widzę, dzisiejszy wieczór szczególnie marząco czy myśląco nastraja moich gości. Pan Lubomir siedzi już także od godziny przeszło, pomiędzy etażerką a wazonami i zamyślony, milczący, pozbawia nas wszystkich swego miłego towarzystwa. Czy można przerwać pana zadumę i wezwać go bliżej do naszego grona?

Na te słowa z kozetki stojącej w rogu salonu podniósł się osamotniony dotąd mężczyzna, i wyszedłszy z cienia etażerki i wazonów zbliżył się do kanapy:

— Pozwoli pan zapytać siebie, ciągnęła zwrócona doń gospodyni, co jest powodem dzisiejszego pana zamyślenia? Czy w obcych krajach w których przebywałeś pan tak długo, istnieje jaka para włoskich oczu która myśli jego daleko od nas pociąga? Czy po paryzkich salonach nasze rozmowy i osoby wydają się panu tak barbarzyńskie, że i uwagi na nie zwracać nie raczysz? Czy może ukryłeś się pan w cieniu dla tego, aby stać się bardziej zajmującym i pożądanym, i abyśmy zmuszone były szukać go pomiędzy zielenią wazonów jak fijołka wśród trawki?

Wszystko to wymówione było tonem żartobliwym, trochę z zalotnością i odrobiną ironji.

— Ani jedno, ani drugie, ani trzecie, odpowiedział p. Lubomir lekko się kłaniając. Nie zostawiłem w obcych krajach żadnej pary oczu do której bym zwracał się tęskną myślą, świetnego salonu pani nie śmiałybym lekceważyć choćbym go nawet porównywał z temi jakie widywałem w Paryżu: do przybierania na siebie roli fijołka kryjącego się w trawie, nie mam najmniejszej pretensji, oto poprostu usiadłem na ustroniu dla tego, aby przez chwilę oddać się własnym myślom i rozważom..

— I może złośliwym obserwacjom czynionym zdaleka nad nami, przerwała pani Kamilla z uśmiechem w którym był przekaz.

— Złośliwym? nie, ale zawsze obserwacjom. Racziecie panie darować tę moją oryginalność, ale lubię wielce usunąć się niekiedy w ciemny kątek pokoju i zdala przypatrując się twarzom i postaciom ludzkim, czytać wypisane na nich litery ducha.

Uderzyły mię te otatnie wyrazy p. Lubomira. Jaki dziwny zbieg okoliczności, pomyślałam. Wszak że i ja przed chwilą przypatrywałam się twarzom i postaciom ludzkim, pragnąc wypisane na nich litery ducha wyczytać. Sympatyczne spojrzenie podniosłam na nieznanego mężczyznę i zaczęłam przypatrywać się mu uważniej. Był to blondyn lat może trzydziestu, średniego wzrostu, jasnych bardzo włosów, z twarzą o drobnych ledwie nie kobiecych rysach. W całej jego twarzy i osobie malowała się jakaś niedbałość i powolność ruchów, którąby można wzięść za przesadę, apatję lub melancholję. Mnie się wydało, że była ta ostatnia i z zajęciem patrzyłam na p. Lubomira, który stał przed gospodynią domu i białą, wypieszczoną rękę opierał na poręczu krzesła.

Pani Natalja ciągnęła dalej rozmowę:

— I jakichże to liter ducha szukałeś pan na twarzach naszych? spytała.

— Takich któreby z moim duchem utworzyły harmonję, odpowiedział pan Lubomir.

Jeszcze więcej zostałam zdumiona. Wszak i ja

pragnęłam dźwięku któryby z duchem moim harmonie utworzył!

— I znalazłeś pan to czegoś pragnął? ciągle w pół żartem pytała gospodyni.

— Pozwól mi pani nie odpowiadać na to pytanie, odrzekł pan Lubomir ze zwyczajnem apatycznym czy melancholijnem poruszeniem.

— Przeciwnie, zawołała żywa pani Kamila, żądamy stanowczo abyś pan odpowiedział na to pytanie.

— Wymagamy tego od pana koniecznie, powtórzyła pani Alina.

— Tak, tak, zawołały inne panie, musisz nam pan powiedzieć co wyczytałeś na twarzach naszych, obserwując je przez całą godzinę z za etażerki i kosza z wazonami.

Wszystko to było mówione ze śmiechem, ale pan Lubomir nie uśmiechnął się ni razu i twarz jego nie straciła ani na chwilę wyrazu apatji czy melancholji jaka ją okrywała. Wstrząsnął tylko głową dla odrzucenia w tył włosów co mu spadały prawie na ramiona, powiódł białą ręką po czole i odpowiedział z wolna:

— Ponieważ mię panie zmuszacie do tego, więc powiem, że na twarzach na które patrzyłem nie znalazłem wcale liter jakie pragnęłam wyczytać.

Zadziwiająco podobieństwo! zawołałam do siebie w myśli, wszak i ja nie znalazłam ich także.

Panie zaśmiały się napozór, ale z utajonem niezadowolaniem i obrazą. Gospodyni domu pierwsza głos zabrała.

— Nie możemy gniewać się na pana za to coś nam powiedział, gdyż nie wiemy dotąd czego właściwie szukałeś pan i czegoś nie znalazł.

Pan Lubomir wstrząsnął znowu włosami i odpowiedział jak wprzód bez cienia uśmiechu:

— Szukałem wszystkiego co szlachetne, podniosłe, idealne, co wyróżnia się od tłumu a ducha unosi w krainy marzeń....

— I nie znalazłeś pan w nas tego wszystkiego? zawołała gospodyni.

— O, teraz to już mamy prawo gniewać się na pana!

— To impertynencja i niesprawiedliwość! wołano zewsząd.

— Nie, panie, to tylko smutna konieczność salonów naszych, do których nie zaświtały jeszcze postępowe i wzniosłe myśli panujące w krajach Zachodu, wyrzekł pan Lubomir podnosząc głowę i prowadząc ręką po czole z zamyśleniem i melancholją. Obej ideom które już zawojowały pół świata, ograniczamy się ciasnemi ramkami zwyczajów i etykiety, zamykamy drzwi nasze na kilka spustów przed każdym człowiekiem który nie przynosi z sobą świadectwa o posiadany znaczny majątku i wysokim pochodzeniu, zajmujemy się samemi błahostkami, zabawami, błyskotkami, prowadzimy bezczynne życie, nie znamy co to praca i prawdziwe cierpienie, i dla tego jesteśmy wszyscy śmiertelnie chorzy na duchu, dla tego nie ma w nas nic podniosłego, poetycznego, szlachetnego, nic, coby się zbliżało do ideału jaki każdy człowiek w piersi swęj nosi, nic, coby nas wyróżniało z tłumu pospolitości. Dla tego na twarzach naszych nie malują się te litery ducha jakie wyczytać na nich pragnie ten, którego duch unosi się nad poziom a buja w podgwiazdnych krainach ideałów!

Wszystko to wymówione było przez pana Lubomira z uniesieniem i szlachetnością. Wydało mi się jednak, że słowa te miały ton trochę zbyt kaznodziej-ski lub deklamatorski, lecz tak dobrze, tak zgodnie wtórowały one temu czego pełna byłam i czego tylko dotąd przed samą sobą sformułować nie potrafiłam w słowach, że myślą w nich zawartą zostałam za-

chwycona. Uderzyło mię tylko, że w czasie gdy głos mówiącego podnosił się i brzmiał szlachetnem uniesieniem, twarz jego pozostała zimną jak wprzód i oczy nie błysnęły ni razu z pod mgły która przysłaniała źrenice. Spójrzałam po obecnych i dostrzegłam że słowa pana Lubomira zdziwiły jednych a uraziły drugich. Niektórzy nawet uśmiechali się ironicznie. Najwidoczniej jednak uśmiechała się tak Helenka obok której siedziałam. Zdziwiona tem pochyliłam się do jej ucha i szepnęłam:

— Czy znasz tego pana Lubomira? Helenko.

— Wybornie odpowiedziała mi również cicho.

— Kto to jest?

— Daleki kuzyn pani Natalji, brat rodzony Zosi, ma znaczne majątki w powiecie N.

— Dla czegoż poraz pierwszy dopiero pojawił się dziś między nami?

— Przed kilku dniami wrócił z zagranicy.

Dając mi te wszystkie odpowiedzi Helenka nie przestawała uśmiechać się ironicznie.

— Nieprawdaz rzekłam do niej jeszcze ciszę, że to co przed chwilą wyrzekł p. Lubomir dowodzi, iż jest szlachetnym i rozumnym człowiekiem?

Ki wielkiemu memu zdziwieniu Helenka zamiast odpowiedzieć mi twierdząco, z wielką żywością poniosła do ust chusteczkę aby pokryć parsknięcie śmiechem.

— Czegoż śmiejesz się Helciu? spytałam z lekką urazą.

Odjęła chusteczkę od ust i popatrzyła na mnie, potem rzekła wzruszając ramionami:

— Długo musiałabym mówić gdybym ci opowiadać chciała z czego się rozśmiałam. Gdy poznasz bliżej pana Lubomira z łatwością odgadniesz sama powód mego śmiechu.

Z kolei wzruszyłam także ramionami i odwróciłam się od Helenki. Piękna i miła towarzyska moja którą z serca kochałam, wydała mi się w owę chwilę dziwną niemal. Zamieniając te urwane słowa z Helenką, uroniłam część rozmowy która coraz żywiej toczyła się w koło kanapy.

Gdy znowu słuchać ją zaczęłam pan Lubomir właśnie głos zabierał.

— Tak moi państwo, mówił, bardzo źle i błędnie postępujemy że nie idąc w ślady narodów stojących na najwyższym szczeblu cywilizacji, zamykamy się w ciasnem kółku samych uprzywilejowanych ludzi, i jak Chińczycy odgraniczamy się od reszty świata murem pychy i przesądów. Nie dopuszczamy przez to do siebie prawdziwej inteligencji i zasługi, pozostajemy zacofani, nie idziemy razem z duchem czasu który oddawna zniósł średniowieczne granice, dzielące ludzi zaporami zbudowanymi z tarcz herbownych...

— Jaktó! zawołał ktoś z mężczyzn, żądasz więc pan abyśmy mieszali się z motłochem?

— Wyrazu tego nie mają już Francuzi i Anglicy, pomiędzy którymi miałem szczęście kształcić me pojęcie o równości. Co pan nazywasz motłochem? zawołał pan Lubomir z gestem szlachetnym, czy tem pospolitym i przestarzałym mianem okrywasz pan ludzi, którzy pędzą życie nad mozolną pracą mającą dla społeczności obfite przynieść kwiaty, ziarna, owoce; którzy zamiast brzęczącej, lichęj mamony, mają wysoką a gruntowną naukę, a zamiast brzmia-czego zasługami przodków imienia, posiadają chlubne imię własną zdobyte zasługą. Jeśli takich ludzi nazywasz pan motłochem, to do tego motłochu racz mię pan z ducha i pojęć zaliczyć, chociaż posiadam nieposledniej świetności herb i majątek odziedziczony po przodkach.

Pan Lubomir chciał dłużej jeszcze mówić, ale go-

spodyni domu powstała i zaprosiła gości do sali jadalnej na herbatę. Słowa pana Lubomira polykałam z chciwością, a gdy przestał już mówić brzmiały one jeszcze długo w mem uchu. Z prawdziwym zajęciem spojrzełam na niego gdy obsiedliśmy wielki stół zastawiony herbatą i kolacją, i ze szczególnem wzruszeniem czekałam aż znowu mówić zacznie. Ale rozmowa zmieniła przedmiot, p. Lubomir stał się znowu milczący i z zamyśleniem oparł głowę na dłoni. Twarz jego ani na chwilę nie traciła wyrazu apatji czy melancholji, źrenice mętnie i niewyraźnie patrzyły na filiżankę z herbatą.

Mimowolnie szukałam oczami siostry p. Lubomira, młodej Zosi, która sierota oddawna mieszkała przy wuju w sąsiedztwie mojej matki, i wraz z nim przybyła na zimę do miasta. Nie wiem już jakim zwrotem myśli, przypomniałam sobie rozmowę między Zosią a wujem jej zasłyszana przezemnie na balu w Rodowie, a wraz z nią przed pamięcią moją stanął ów młody prawnik o szlachetnej i rozumnej twarzy, który na zabawie tej zajmował się Zosią a którym zajmować się wzajem wuj jej tak surowo zabronił. Pomyślałam, że gdyby Zosia zostawała pod opieką swego brata, nie oddaliłby on pewnie od niej człowieka do którego czuła sympatję dla tego tylko, iż pochodził z innej niż ona towarzyskiej sfery. O tem samem może myślała Zosia, bo piękne zamyślenie jej oczy tkwiły w twarzy brata z miłością, uwielbieniem, jak mi się zdawało niemą nadzieją.

Przez resztę wieczora zostawałam pod wpływem miłego wrażenia, jakie uczyniła na mnie szlachetna mowa pana Lubomira. Doświadczałam takiego poczucia jakiego doświadcza człowiek, który nagle i niespodzianie znajduje na drodze swojej to, czego z całej siły pragnął przed chwilą.

Gdy nakoniec pożegnaliśmy z matką towarzystwo i salon pełen jeszcze gości zostawiliśmy za sobą, zstępowałam ze wschodów mieszkania pani Natalji zamyślona, rozmarzona prawie. Helenka która jednocześnie z nami opuściła ze swą matką zabawę, ujęła mię pod rękę i schyliwszy się nad mem uchem szepnęła:

— Widzę kochana Waciu, że w serduszkach twojem budzi się nowy piedestał dla nowego ideału!

— A gdyby tak było w rzeczy samej? spytałam.

— Nie, odparła Helenka, prosiłabym cię tylko abyś ku wspólnej naszej nauce, uwiadomić mi raczyła o chwili, w której ideał spadnie z piedestału i na miazgę się pogruchoce.

— Zkądże ci ta pewność że tak będzie? zapytałam.

Helenka zaśmiała się znowu, ale nie miała czasu na odpowiedź bo karetka jej rodziców wtoczyła się w bramę.

Przez całą drogę do domu myślałam o panu Lubomirze, myślałam o nim zdejmując z siebie wieczorowe ubranie i gdy samotna już w sypialni mojej odczytałam raz jeszcze list mego ojca, pomyślałam, że pan Lubomir był bardzo niepospolitym człowiekiem i w ustach swych miał tak szlachetne słowa, jakimi ojciec mój za pośrednictwem listów przemawiał do mnie.

XLVII.

Pan Lubomir złożył nam wizytę i często u nas bywać zaczął. W tydzień około po owym wieczorze u pani Natalji rzekł do mnie półgłosem:

— Miałem zamiar parę dni tylko przepędzić w W. ale poznałem panią i zostanę póty póki pani tu będzie.

Inną razą zapytał mię.

— Czy pani dokładnie poznałaś miasto W? Czy obejrzałaś pani starożytne świątynie i odwieczne

gmachy, które są jego ozdobą, miejsca pełne dziejowych pamiątek, przejmujące duszę człowieka uroczystym dreszczem przeszłości, którą mu stawia przed oczy? Zawstydyłam się wiele. W istocie tyle już dni przebyłam w W., a widziałam tylko jak na kilku głównych ulicach jeździły dorożki i powozy, po chodnikach przesuwała się ludność miejska, i znałam wnętrza kilkunastu zaledwie mieszkań znajomych mi rodzin. O charakterze zaś i pięknych pamiątkach starożytnego grodu pojęcia nie miałam jeszcze, nikt o nich w towarzystwie naszym nie wspominał nigdy a mnie i na myśl nie przyszło odbyć pielgrzymkę dla zapoznania się z niemi. A jednak wrażenia które w pierwszych dniach dzieciństwa z poetycznych a pełnych miłości opowiadań Bini w duszę mą wpłynęły, leżały niezatarte w jej głębi, przeszłość dziejowa ilekroć o nią myślałam, rysowała się przede mną w kształtach wspaniałego olbrzyma o smutkiem powleczonej twarzy, każda pamiątka, każde o przeszłości wspomnienie, każde imię chwałą wieków uświęcone, wprawiało mnie w zadumę wśród której, jak słusznie wyraził się pan Lubomir, uroczysty dreszcz mię przenikał. A jednak porwana szalonym wirem światła ani razu w ciągu dni tylu nie pomyślałam o tem, że tuż w koło mnie roztacza się wieńiec cały tych pamiątek, tych wspomnień gruzami przywalonych, ale wydających z siebie nieprzerwane i nie stłumione niczem tchnienie poezji i wielkości.

Kiedy pan Lubomir zapytał mię, czy znam miasto w którym mieszkam, czy obejrzałam skarbnięć klejnotów przeszłości wśród której żyję, zawstydyłam się i zmieszana wyjąkałam przeczącą odpowiedź, ale w głębi serca poczułam miłe wrażenie, radość podobną tej jakiej już raz doświadczyłam, słuchając szlachetnej mowy pana Lubomira na wieczorze u pani Natalji.

Znowu spojrzełam na niego ze zdwojoną uwagą. Po zadaniu mi pytania na które przeczącą dać musiałam odpowiedź, zamilkł, głowę na piersi opuścił, miękkie jego włosy upadły mu na czoło a twarz oblekła się wyrazem melancholji.

Byłam pewna, że wzmianka ta o wielkich i świętych pamiątkach jakie zawierało miasto w którym żyliśmy, wtrąciła go w melancholijną zadumę. Pomyślałam nawet, że może odpowiedź moja z której dowiedział się że nie o tych pamiątkach nie wiem napętniła go smutkiem, a może i niechęcią dla mnie. Żywo zapłonęłam się przy tej myśli i serce mi się ścisnęło. Sąd o mnie p. Lubomira obchodził mię wiele, zaczynałam uważać go za człowieka niezmiernie wyższego nad innych których znałam, a w miarę jak rosła ta dobra moja o nim opinja, coraz żywszą i wyraźniejszą poczuwałam dla niego sympatję. Ale pan Lubomir obudzony się z melancholijnej zadumy, wstrząsnął głową aby odrzucić w tył długie opadające na czoło włosy, i spojrzął na mnie spojrzeniem w którym nie było wcale niechęci. Przeciwnie po raz pierwszy spostrzegłam, że w źrenicach jego za mgłą która je przyćmiewała, błysnął przelotny ogień. Błysnął i szybko zniknął, pan Lubomir zwykłym sobie kwiecistym i podniosłym stylem zaczął rozmawiać z moją matką, a ja mimowoli prawie spojrzełam w wiszące naprzeciw mnie zwierciadło. Zdaje mi się że bezwiednie, instynktowo pragnęłam je zapytać: zkadby w oku p. Lubomira dojrzana przed chwilą powstała iskra?

Rumieniec wywołany uprzednią rozmową, leżał jeszcze na mojej twarzy, a nawet czoło zasnuwał przezroczystą obłonką różowego koloru. I zobaczyłam że z rumieńcem tym było mi bardzo pięknie...

Po wyjściu p. Lubomira pobiegłam do Bini i chwyciwszy obie jej ręce zawołałam:

— Biniu! wszakże urodziłaś się w W. i wzrosłaś? nieprawdaż?

— Tak odpowiedziała.

Proszę cię, Biniu moja, mówiłam po dziecinnemu otaczając rękami jej szyję, proszę cię abyś mi pokazała wszystkie miejsca godne widzenia, wszystkie pamiątki jakie się tu znajdują. Chcę widzieć to wszystko! chcę z ust twoich posłyszeć miejsc tych historję i długo dumać nad zgasłych wieków grobami!

Binia popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Dziecko! rzekła, zkad ci to nagłe przyszło pragnienie?

Policzki twe pałają, lzy cisną się do oczów, co ci jest?

Nie umiałam wytłomaczyć Bini co mi było, bo i sama nie rozumiałam dobrze uczuć które mną miotały. Wiedziałam tylko, że pragnę czegoś niezwykłego, wielkiego, pięknego, czegoś co by wychodziło ze szranek popolitości i codziennych salonowych zabaw w których pograżona byłam. Pragnienie to wyciskało mi lzy mimowolne, lubo całą siłą wstrzymywałam je pod powiekami, a rumieniec tryskał na twarz dla tego, że z tą nieznaną a upragnioną wielkością coraz częściej i coraz ściślej łączył się obraz p. Lubomira.

— Pójdźmy, Biniu, pójdźmy! wołałam do mojej pocziwój piastunki i sama wkładałam na nią futro i kaptur.

Za kilka chwil wychodziłyśmy z bramy mieszkania. Może mi kto nie uwierzy gdy powiem, że wiele tygodni spędziwszy w mieście poraz pierwszy wychodziłam na ulicę pieszo. Dotąd wyjeżdżałam zawsze karetą lub koczem, choćby to było w celu przebycia kilkudziesięciu kroków, a kto by poczuwał ochotę niewierzenia temu, niech przypomni sobie że byłam światową i dystygowaną panną, to jest kwiatem hodowanym w cieplarni, i skrzydlatą istotą której zadaniem było fruwać po parkietach salonów na skrzydłach z gazy i krepy, a nie stąpać prozaicznie po chodniku ulicy jak jaka tam prosta śmiertelniczka; że także i przedewszystkiem byłam panną na wydaniu, zatem musiałam koniecznie od stóp do głowy okrywać się pozłacaną szatą świetnej pozycji, jednym z klejnotów której był piękny powóz, i jakkolwiekby ta szata dziurawa okrywać się nią musiałam, bo bez niej ... i cóżby się stało z mojem wydaniem się za małż...

A jednak, wyszedłszy poraz pierwszy pieszo na ulicę miasta, nie myślałam wcale o tem, że jestem dystygowaną panną, kwiatem, istotą nadziemską. zapomniałam o pozycji i wyjściu za małż, otworzyłam tylko szeroko ciekawe oczy i trzymając się ramienia mojej dobrej Bini, śmiało rzuciłam się wraz z nią pomiędzy tłum zalegający chodniki.

Było to o godzinie drugiej po południu, zimowe słońce bladymi promieniami rzucało się w okna wysokich kamienic, pod nogami skrzypiała cienka warstwa śniegu, środkiem ulicy pędziły liczne sanie z głuchym odgłosem dzwoneczków.

Widok jaki roztaczał się około mnie, często zapewne nasuwał się mym oczom gdy w oszklonej karecie przebywałam ulice miasta, ale zajęte myślą o zabawie ku której niecierpliwie dążyłam, albo chroniąc od zmięcia piękną suknię, nie patrzyłam nań a może i szyby karety zamglone bywały wilgocią lub zaćmione ciężką lodu warstwą, jaką szkło przyoblekła się w zimie. Teraz nie było już żadnej przegrody pomiędzy moim wzrokiem a światem ruchliwym w jaki się rzuciłam, niecierpliwą ręką odrzuciłam nawet woalkę z twarzy i z radością dziecka wciągałam orzeźwiający powietrze.

Przedemną stary odwieczny gród, roztaczał wązkie, długie, wysokiemi murami ostawione ulice, niby po-

sepne korytarze klasztorne nad którymi dłoń mistrza wymalowała niebo zimowe. Ulice te fantastyczne mają zgięcia, to wspinają się w górę to spływają w dół łagodnymi spadami. Znać że całe miasto rozłożyło się na nierównej chrapowatej dolinie, która kapryśnym wzdymaniem się przedrzeźnia otaczające wzgórza. Wzgórza te albo porośnięte ciemnymi borami, albo nagie i u szczytu tylko sterczące rozwiniętymi na tle chmur ramionami krzyżów, objęły dolinę i rzucony w nią gród kołem zadumanych olbrzymów, którzy miejscami wysuwają swe odwieczne czoła aż po nad dachy wysokich murów, miejscami stoją nieme i poważne u końca ulic wązkie niby ołtarze postawione w głębi posepnych korytarzów rozległego klasztoru. Nie widać tu szerokich i jasnych placów, miejsce rozłożystych na których nowożytnie miasta skupiają cały wykwint zbytku, i szumiącą esencję zbiorowego żywota tłumów, ani wytwornych skwerów z drzewami urabianemi w symetryczne kształty i perlistemi niemi wodospadów, ani posągów rozstawionych tu i owdzie a rozweselających oko wykutemi z kamienia postaciami Nerejd, Nimf i Neptunów. Nigdzie tu jeszcze nie znać przekształcającej wszystko ręki nowych czasów, nigdzie dłoń nowożytnego architekta nie potargnęła się na kapryśne i posepne budowle starych wieków, nikt tu wysokich ścian popękanych od starości i fantastycznie zdobnych w kapryśne załamania, nie stłukł dla zastąpienia ich architektonicznemi cackami o symetrycznych lecz ułotnych linjach, nikt ulic gmachów nie obmierzył jeszcze niwelującym cyrklem i nie zarzucił na nie modnego pokostu konwencjonalnej jednostajności. Na dnem doliny owej latem zielonej i kwietnej, zimą zasnutej białymi mgłami, posepny i zamyślony stoi gród stary tak zupełnie jak go tam wieki minione rzuciły, jak go zbudowały stopniowo i zwolna wieków tych wiara, potrzeby, uczucia. Wieżycy licznych świątyń sterczą w górę i głosem dzwonów rozmawiają zraną z krzyżami, co ze wzgórz wyciągają ku nim ramiona a wieczorem milcząc patrzą w niebo, jakby mu zadawały pełne grozy i skargi pytania, albo przypomnieć mu pragnęły tych których dłoń zbudowała je tam jako wiary strażnice święte. Stutysięczna blisko ludność od wzgórz niemych od murów starych świątyń rozmawiających z niebem, zapożyczyła powagi smętku. Nieujrzysz tu dziarskich i zuchwałych ruchów innych miast popółstwa, ani skocznych kroków kobiet rzucających się w oczy przechodniom krzykliwą suknią barwą; ani owej młodzieży niedbającej o jutro, cynicznej, rozhulaniej, krokami tryumfatorów stąpającej po bulwarach i skwerach przy akompanjamencie laseczki uderzającej w takt o kamienie. Tu zaduma leży na czołach, dziwna powolność tkwi w ruchach, piękne nawet i młode głowy częściej opadają na piersi niż z weselem podnoszą się do góry: ubiory proste jakby graniczące z żałobą. Na pierwszy rzut oka powierzchownie patrząc powiesz, iż to miasto do którego nie zajrzał jeszcze wykwint cywilizacji, które nie posiadłszy wdzięcznych form panujących gdzieindziej, ubiera się dotąd w negliż niedbały. Ale gdy jakimkolwiek powodowany uczuciem, blisko i badawczo przyjrzy się tym prostym szatom, czołom zamyślonym, ustom bez koloru i uśmiechu, pod niedbałym negliżem zamiast wykwintu miast innych, ujrzysz wspaniałosć potężnego dramatu, w którym patrząc codziennie na swe góry rodzinne i gmachy co wieki przeżyły, razem z wieżycami swych świątyń zadają niebu pytanie słowami Chrystusa: „O, panie, czemuś mię opuścił?”

(d. c. n.)

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TRZOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

— Ależ co dalej, mój stryju, co dalej? Czyliż onym panem był Godfryd Delamayn?

— Bynajmniej! Przekonałem się o tem.

— Pan Delamayn wyjechał wtedy do Londynu, i Arnold...

— Towarzyszył mu aż do drugiej stacji. Wiem że Delamayn nie był wcale w Craig Fernie, i mówił prawdę, opowiadając mi ten wypadek, jako historją przyjaciela swojego. Zażądałam także rysopisu owego pana, który mianował się mężem miss Anny.

— Jakżeż on wygląda?

— Młody, średnio-wysoki, wysmukły, ma płeć ciemną i niemal czarne włosy i oczy; jest ładny, miły i uprzejmy bardzo, stanowi zatem sprzeczność zupełną z panem Delamayn. Jeżeli przeto odgadniesz kto jest tym bohaterem, będziesz mędrszą ode mnie. Z resztą ten rysopis odpowiada jednemu z tutejszych służących.

— I Arnoldowi także! zawołała Bianka, jako najlepszy sędzia nastrożonego podobieństwa.

— Tak... i Arnoldowi także — powtórzył sir Patrik.

Zaledwie słów tych domówił, gdy zbliżył się Arnold z talją kart w ręku.

— Skończona rozprawa o starożytnościach rzekł a teraz wist się zaczyna. Czy weźmiesz pan kartę, sir Patrik?

— Za wcześniej to jeszcze po obiedzie, mój kochany. Graj za mnie pierwszego robra później siądę do stolika.

— I cóż stało się z mężem Anny? zapytała Bianka po odejściu Arnolda.

— Nic nie wiem moja droga, a nawet niczego się nie domyślam.

— A tamten wie wszystko rzekła! Bianka wskazując na śpiącego Godfryda, zaprawdę, w głowie się męsza myśląc o tem wszystkim.

Stryj dał jej znak ręką, bo ruch zrobił się w salonie. Do wista zasiedli: Lady Lundie, doktor, Jones i Smith, Arnold stanął za krzesłem doktora pilnie się grze przypatrując. Pierwszy, Drugi i Trzeci, chcąc zagrać w bilard, obejrżeli się za Godfrydem a zobaczywszy go uśpionego w rogu salonu, przystąpili bliżej i zawołali chórem: „Pula!”

Godfryd ocknął się odrazu, i wyrzekłszy: bardzo dobrze, podniósł oczy i spotkał zwrócone na siebie spojrzenie Bianki, dziwne, przenikliwe że aż to zwróciło nawet jego uwagę. Przybliżył się więc do niej mówiąc:

— Przepraszam, ale zdaje mi się że pani pragniesz zaszczyć mnie rozmową.

Bianka zapłonęła a stryj ratując synowicę pospieszył z odpowiedzią:

— Miss Bianka i ja sądzymy, żeś pan przespał się smacznie.

— Oh! i nie więcej? odrzekł Godfryd, patrząc się ciągle na Biankę. Znużyłem się przechadzka, potem objadam, nie też dziwnego żem się zdrzemnął. Może przejdziemy do pokoju bilardowego, i nie cze-

kając na odpowiedź, jak zwykle, wyszedł z salonu a za nim jego przyjaciele.

— Żle! odezwał się sir Patrik patrząc za odchodzącym Godfrydem — ten młody Herkules jest bystrzejszym aniżeli sądziłem, nie dobrze więc żeśmy nieostrożnie wywołali jego baczność.

— Będę odtąd więcej uważniejsza ale mój Boże! on posiada jednak zaufanie Anny, gdy ja nie wiem o niczem.

— Raczej zaufanie przyjaciela swojego. Gdyby go wszelako można zręcznie za język pociągnąć, to kto wie czyliby się nie wygadał, kto jest tym przyjacielem.

— Jutro jedzie do brata, jak mówił.

— To i lepiej, tym bowiem sposobem nie będzie mógł czytać w twarzyczce pewnej młodej panienki, którą łatwo zdradzają oczęta. Zresztą, pan Juliusz nie daleko ztąd mieszka, a jestem przecież i jego prawnym doradcą. Teraz jeszcze mam ci coś powiedzieć o Bishopriggsie i owym liście zgubionym.

— Czyliż się znalazł?

— Nie. Kazałem go przy sobie szukać wszędzie ale na próżno. Jestem przekonany, że Bishopriggs go ukradł, a jednak goście w Craig Fernie żałują tego hultaja i gospodyni ubolewa, że gniewu swego nie umiała powstrzymać. Całą winę nieporozumienia przypisują miss Silwester, twierdząc, że zaniedbywał wszystko byle jej tylko dogodzić. Po krótkim wszelako czasie jestem tego pewny, że powróci znowu i przyjętym zostanie. Zostawiłem więc tam słów kilka do niego, a teraz chodź, uczyć cię będę grać w wista.

— Jeszcze chwilę — odezwała się Bianka — stryj nie powiedział mi jeszcze czy Anna jest zaślubioną z tym jakimś panem?

— Ten jakiś pan byłby lepiej zrobił, gdyby był się do tej sprawy zupełnie nie mieszał.

— Więc Anna jest mężatką?

— Nie powiedziałem tego.

— Więc nie jest mężatką?

— I tegom nie twierdził.

— Och to prawo okropne!

— Mogę ci teraz tylko tyle powiedzieć: że jeżeli zechce to może prawnie ze swoim wystąpić małżeństwem. Później zapewne czegoś dowiemy się więcej.

— Ale kiedyż to nastąpi?

— Najpewniej nie dziś i nie jutro. No dość już tego, a teraz rozpoczniemy naukę wista.

— Wolalabym z Arnoldem pomówić.

— Nie dziwię się temu, nie powtarzaj mu jednak ostatniej rozmowy naszej. Jest on przyjacielem Godfryda Delamayn i mógłby się nieumyślnie z czemś przed nim wygadać. Przykro mi, że cię uczę takiej nieszczerości ale trudna rada, nie raz trzeba milczeć a nawet czasem kłamać żeby zdobyć prawdę.

To rzekłszy zażył tabaki i stanął przy wistowym stoliku czekając na swoją kolęj.

XXVII.

W Windygates zwykle późno udawano się na spoczynek, i równie późno wstawano. Nie stawiano nigdy świeczników z niezapalonymi świecami na stoliku przy drzwiach dla gości, jak to bywa zwyczajem w wielu bogatych domach, aby tem dać poznać, że u lady Lundie, każdy z gości ma zupełną swobodę i iść może na spoczynek w każdej porze, bez względu na resztę towarzystwa.

Zrana także nie snu gościom nie przerywało i śniadanie pierwsze nie zależało od porządku dziennego.

Wist przeciągnął się aż do północy: doktor i sir Patrik byli graczami znakomitymi, a Smith i Jones adjutantowali im tak samo, jak przy każdej zabawie lub rozmowie. O kwadrans na pierwszą pani domu opuściła salon. Drudzy wistowi szermierze postanowili jednego jeszcze przegrać robra.

Bianka odeszła także lecz ukazała się znowu po odejściu macochy, i ze wszystkich gości jeden tylko Arnold poszedł za przykładem pani domu. Zmartwiony zawziętością Godfryda, uważał stosunki z nim wszelkie jako zerwane i opuścił wcześniej niż zwykle towarzystwo, pomimo uroku obecności Bianki.

Ostatni robr skończył się po pierwszej, gdy nagle ukazał się Dunkan z telegramem w ręku. Bianka stała przy oknie, zapatrzona w obrazie nocy księżycowej, która ciszą przygrywała smutnym myśлом dziewicy. Wejście Dunkana ocknęło ją z zamyślenia, przybiegła bez tchu niemal do stryja i patrząc mu przez ramię czytała telegram. Pierwsze zaraz słowa oświeciły ją o wszystkim:

„Pociąg z Kirkandrew stanął w Edynburgu, policja jak najściślej swoją wykonała powinność, lecz nie przybyła żadna kobieta do rysopisu Anny podobna.

Sir Patrik wskazał Biance dopisek:

„Telegrafowałem do Falkirk. O skutku doniosę.”

— Miejmy nadzieję, kochana Bianco, dodał, podejrzewają widocznie, że obrała tę drogę w miejscu gdzie rozchodzą się koleje, by ująć baczności wszelkiej. Idź na spoczynek moja droga, dobra noc!

Bianka pocałowała stryja w rękę i w milczeniu odeszła. Było to pierwsze, ciężkie zmartwienie które jej młodą zraniło duszę.

— Dunkanie odezwał się sir Patrik wchodząc do swego pokoju, z naszą poszukiwaną widzę że nie damy sobie rady. Nie chcę tego powiedzieć miss Biance, ale widzę że nas ta guwernantka w pole wywiodła.

— Zapewne sir. A biedna panienka wygląda, jak gdyby jej serce pęknąć miało.

— I ty to uważałeś także? Biedaczka! Były zawsze razem i kochały się bardzo. Lękam się o moją bratanekę niezmiernie, Dunkanie, bo to jest tak tkliwa, sercowa istota....

— Młodziutka!

— Właśnie też dla tego, mój kochany, bo tem gorącej czuje; szrony zimowe nie zmroziły jeszcze jej uczuć.

— Ale, myślę... że jeden powód zwycięży to zmartwienie łatwiej, aniżeli sir sądzisz....

— Jakież to powód? zapytał zdziwiony sir Patrik.

— Nie mogę... sir... przebaczyć... stanowisko moje nie pozwala wypowiedzieć....

— Cóż to znowu, stary gdero? wybuchnął sir Patrik pół żartem w pół podrażniony. Więcej jestem przyjacielem twoim aniżeli panem, a czyż kiedykolwiek z góry na kogo spoglądam? Nienawidzę liberalizmu modnego, alem zawsze i wszędzie odpierał wstrętne dzielenie ludzi na klasy. Pod tym względem jesteśmy zaprawdę najmniej chrześcijańskim narodem w całym cywilizowanym świecie.

— Przepraszam, sir Patrik...

— Boże odpuść! Prawię o społecznych stosunkach, o godzinie drugiej po północy i to z winy twojej, Dunkanie... Przyczesz mi włosy szczoteczka, bo nie mogę wygodnie nocnej włożyć czapeczki... Targasz niezgrabiaszu! Czyż chcesz abym ci dał klapasa? Jestem niespokojny o moją bratanekę Dunkanie, a ztąd nerwowy i podrażniony... I cóż chciałś powiedzieć o niej?

— Ej! nie panie, tylko mówią że jeżeli co złego stanie się z miss Silwester, a myślę że cała ta sprawa na najgorszej jest drodze, to lepiej wesele panny Bianki przyspieszyć. Kto tam wie jakie zajść mogą później okoliczności. Ale to ludzie tak mówią sir-

a ja od podobnych spraw zawsze się trzymam na boku.

— Dziwak jesteś razem z ludzkimi domysłami mój poczciwy Dunkanie. Zobaczmy jednak, zobaczymy.

Bianka spędziła noc prawie bezsennej z myślą jedynie Anną zajęta, i postanowiła wywiedzieć się od Godfryda o wszystkim co tylko wiedzieć może o Annie. Wprawdzie robiła sobie wymówki, że to będzie niewłaściwie, że zdradzi zaufanie stryja, ale uwagi te były daremne.

Wybiegła więc szybko z sypialni i to w tej samej chwili, gdy Godfryd postanowiwszy zaraz po śniadaniu przebiez piechotą mil dziesięć do brata, stał już w przedsiönku z kapeluszem na głowie i zajęty nakładaniem ulubionej tak przez siebie fajeczki. Zobaczywszy Biankę zdziwił się niewymownie.

— Pani wstałaś tak rano? zapytał. Wybieram się właśnie do brata, czy pani nie ma co do rozkazania?

— Chciałabym zapytać...

Godfryd uśmiechnął się uprzejmie i kapciuch otworzył. Czuł się świeżym, rażnym, bo wyspał się doskonale i był w wesołym usposobieniu, rozmowa więc z tak miłą osobą dawała mu przyjemne rozładowanie.

— I cóż miss Bianco, jakież mi raczysz zrobić zapytanie? zapytał ujrzawszy pewne wahanie w oczach pięknej dziewczyny.

Bianka bez żadnego wstępnego słowa jakby pragnęła zająć go zniemacka, wprost zapytała:

— Czy pan wiesz gdzie jest obecnie miss Anna Silwester?

— Nie wiem odrzekł Godfryd cokolwiek zaniepokojony i chyląc się ku ziemi zaczął zbierać okruchy rozsypanego tytoniu.

— Możesz pan dać na to słowo honoru, jako szlachetny gentelman?

— Na mój honor, jakiem gentelman, że nic nie wiem gdzie się obecnie miss Anna znajduje. Czy mi miss nie ma nic więcej do rozkazania?

— Nic więcej — odrzekła Bianka domyślając się że postąpiła nierozważnie, zapominając o przestrodze stryja, który wyraźnie rzekł, nie dobrze żeśmy bez potrzeby wywołali jego bacność. Przez czas milczenia Bianki, Godfryd pilnie wpatrywał się w jej oblicze i po chwili zapytał:

— A teraz na mnie kolój, pozwól zatem pani że się zapytam, dla czegoś się dowiadywała o miss Silwester?

Bianka pragnąc błąd naprawić postanowiła użyć całej zręczności, aby rozmowie swojej nadać jak najmniejsze znaczenie. Odrzekła więc z całą właściwą sobie swobodą:

— Podobno miss Silwester opuściła miejsce w którym zostawała dotąd, i to w tym samym czasie gdy pan na przechadzkę wyszedł. Przypuszczałam więc, że może ją gdzie spotkałeś i dlatego jedynie zrobiłam to zapytanie.

— I to jest cały powód wypytywań pani? zapytał Godfryd ze śmiechem, który przeszył na wskroś poczciwe serce dziewczęcia.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia, panie Delamayn — odrzekła Bianka powstrzymując oburzenie i wykręciwszy się zręcznie wbiegła do pokoju i drzwi za sobą zamknęła.

Godfryd z wolna schodził po wschodach przed dom mówiąc sobie w myśli: że Arnold zapewne przez nikczemną zemstę, po tem co zaszło między nimi, Bianca całą wyspowiadała tajemnicę: że sir Patrik, naturalnie, dowie się także o wszystkim i pierwszy powiadomi Arnolda, w jakim z miss Silwester stanął stosunku. Sir Patrik zatem wyboryn będzie świadkiem gdy skandal się ujawni, a on, Godfryd, odepchnie

wymagania Anny jako natrętne żądanie kobiety zaślubionej innemu. Pomyślawszy to, wyrzucił kłęb dymu tytoniowego i udał się w zamierzony pochód do brata.

Bianka pozostała sama w pokoju, gdzie podawano śniadanie. Zmartwiona że zepsuła nierozważnie zamiar wyciągnięcia czegoś z Godfryda, usiadła przy oknie i patrzyła się w ogród, na taras który ulubionem Anny był miejscem.

W tem posłyszła posłańca pocztowego w sieni i wybiegła niespokojna mając nadzieję odebrania od Anny tyle upragnionej wiadomości.

Służący wyjął dzienniki i listy. Jeden był do niej ze znakiem pocztowym Kirkandrew w którym poznała pismo Anny. Pochwyliła je z gorączkową niecierpliwością, rozłamała pieczętkę i przeczytała:

„Pożegnałam ciebie na zawsze najdroższa Bianco! Oby Bóg najwyższy dał ci szczęście. Nazwiesz mnie okrutną, a nigdy ci większych nie dała jak teraz dowodów miłości. Nie mogę nic więcej powiedzieć. Wybacz!... i zapomnij o mnie! Jesteśmy od dzisiaj rozdzielone na zawsze.”

Gdy sir Patrik przybył na śniadanie zdziwił się że Bianki nie zastał, czekającej go zwykle z powitaniem. Inni goście już byli po śniadaniu że zaś nie lubił śniadać sam, posłał Dunkana by służąca miss Bianki poprosiła ją do niego. Po chwili służąca oświadczyła, że miss Lundie była cierpiąca i przyjść obecnie nie mogła, ale przysłała list który tego odebrała rana.

Sir Patrik przeczytał list Anny i zamyślił się pomieszany i zaniepokojony. Otworzył listy do siebie adresowane, ale nie było między nimi ani od szeryfa z Edynburgu, ani też ze stacji kolei żelaznej. Rozważając całą tę przykrą sprawę po rozmowie w nocy z Dunkanem, chciał tydzień poczekać, a potem dopiero postanowić co do ślubu Bianki z Arnoldem. Po przeczytaniu wszelako listu Anny, zamierzył nie czekać dłużej.

Dunkan powrócił by panu podać kawę.

— Czy wiesz, gdzie jest lady Lundie?

— Wiem, sir.

— Idźże do niej zaraz: oświadczyć jej mój ukłon i poprosić, ażeby mnie za godzinę przyjąć raczyła bo mam do niej interes.

XXVIII.

Sir Patrik był gniewny przy śniadaniu, nieobecność Bianki przykrą mu była, a list Anny drażnił niewymownie. Przeczytał go raz drugi i trzeci, ale zawsze przekonywał się tylko, że ucieczka jej była ofiarą, którą dla szczęścia Bianki spełniła i że pożegnała Biankę na zawsze w jej interesie własnym! Cóżby to być mogło? zapytywał sam siebie, ale na to pytanie mimo całej bystrości, odpowiedzieć nie umiał.

Po chwili weszli do pokoju doktor i Arnold zajęci z sobą rozmową.

— Cóż doktorze, pytał Arnold słabość więc miss Bianki nie przedstawia niebezpieczeństwa?

— Uczucie, które w panu tak silnie dla miss Lundie przemawia, odrzekł doktor, obudza bezpotrzebną trwogę. Byłem właśnie u niej z polecenia lady Lundie, i mogę panów zapewnić, że zła już zupełnie minęła. Miała atak nerwowy, który uśmierzyły najzwyczajniejsze lekarstwa domowe. Potrzeba jednakże nadal podobnym wypadkom zabiegać troskliwie. Miss Biankę dręczy jakiś wewnętrzny niepokój, cięży jej coś na duszy, potrzeba więc i umysł jej rozrywać aby stan taki nie wziął przewagi.

— Czy słyszałeś? zapytał sir Patrik Arnolda po wyjściu doktora — i czegoż tak smutną masz minę?

— Smutno mi bo obawiam się czy się czasem nie myli...

— Jaktó! Czyż myślisz, że on pomyłkami sławę ugruntował swoją? Wyraźnie mój Arnoldzie do młodego pokolenia należysz. Umiecie na znakomitego męża oczy wytrzeszczyć, ale nie macie poszanowania dla jego sławy. Cześć dla zasługi zamarta pomiędzy wami, a mogły jej nawet nagrobkiem nie oznaczyć. Ale mówmy raczej o Biance, odgadujesz zapewne przyczynę jej cierpienia: Miss Silwester złudziła ją i zwiódła policję edynburską. Otóż list, który od niej Bianka otrzymała dziś rano. Przeczytaj go.

Arnold list przeczytał z niezmierną uwagą. Po kłótni wywołanej przez Godfryda, na postępowanie jego zapatrywał się teraz inaczej i uznał, że porzucił Annę z zupełnie zimnym namysłem.

— A co? zapytał sir Patrik — czy zrozumiałeś?

— Teraz rozumiem i pojmuję udręczenie miss Bianki.

Do dwóch przyczyn nakazujących Arnoldowi zachowanie tajemnicy, to jest poszanowanie dobrej sławy Anny i wstręt wyjawienia w obec Bianki ukrywanej przed nią swęj bytności w karczmie, przyłączyła się teraz trzecia. Gdyby bowiem po pogniwaniu się z Godfrydem, wyjawiał teraz wszystko o nim co było tajemnicą, mógłby na siebie ściągnąć podejrzenie odwetu, którym brzydkiła się jego szlachetna dusza. Postanowił więc i teraz nie zdradzić położonego w sobie zaufania, chociaż wszystko skłaniało go do otwartego rozmówienia się z sir Patrikiem.

— Tak, tak — mówił stryj Bianki — jej zmartwienie pojąć jest łatwo. Ale w czemżeż może być odpowiedzialną za ucieczkę tej nieszczęśliwej kobiety?

— Nic nie wiem. Bo i dla Bianki jest to tajemnicą zapewne.

Arnold mówił w zupełnej dobrej wierze, bo ani mu w myśli powstało, ażeby spotkanie się z Anną w karczmie, przykre i groźne miało spowodować następstwa. Listu też miss Silwester zrozumieć nie mógł.

— Dość tego na teraz, odezwał się sir Patrik chowając list do kieszeni — bo zastanawiając się nad otaczającymi nas zagadkami przyszedłem do przekonania, że najlepiej tak pozostać jak nas miss Silwester zostawiła i nie robić odtąd żadnych poszukiwań.

— Ależ to będzie straszne dla Bianki!

— Nie przeczę. Lecz nie ma innej na to rady!

— Zdaje mi się jednakże, że musimy rzecz tę prowadzić dalej.

— Są dwie okoliczności niezależne od miss Silwester, które mogą rzucić światło na całą tę sprawę.

— To zróbmyż z nich użytek, bo niepodobna pozostawić miss Silwester bez żadnej z naszej strony pomocy.

— Ale jakżeż ją udzielić wbrew własnej jej woli? Musimy także oszczędzać Biankę, zwłaszcza po jej ataku nerwowym i wykonać radę naszego szanownego doktora.

— O! tak, róbmy więc wszystko co tylko w naszej mocy.

Uśmiech zadowolenia przemknął po licu sir Patrika.

— Czyliż dla niej nie ma rady coby ją po stracie przyjaciółki pocieszyć mogła? Zastanów się dobrze Arnoldzie, zapytaj się swego serca, swoich pragnień i nadziei... czy pojmujesz o czem właściwie pragnę mówić?

Arnold zerwał się z siedzenia a twarz jego zajaśniała szczęściem.

— Sir! czy mnie nie zwodzisz? — zawołał z zapalem.

— Zwodzić nie zwodzę, ale może życzyłybyś odwlec akt waszego małżeństwa?

— Gdyby i dziś zezwoliła zawołał młodzieniec obejmując stryja — to dziś jeszcze pragnąłbym z nią stanąć przy ślubnym ołtarzu.

— Bardzo dobrze, ale siadaj, ot lepiej i pogadamy z sobą rozsądnie. Jeżeli Bianka zezwoli, i jeżeli potrafimy wpłynąć na prawników, to za trzy lub cztery tygodnie ślub wasz może nastąpić.

— Cóż tutaj prawnicy mają do czynienia?

— Rzeczywistość nie jest romantyzmem mój kochany! Jesteście młodzi oboje i bogaci. Ty jesteś pełnoletnim, panna ma zezwolenie opiekuna, coż zatem więcej potrzeba? Otóż prawnego układu warunków.

— To idźmyż do biblioteki a ja spiszę je zaraz; przekazując wszystko cokolwiek posiadam, aż do ostatniego szyllinga mojej najdroższej Biance. Będzie to zarazem i testamentem moim i układem przedślubnym.

— Doprawdy? Urodziłeś się na prawodawcę jak widzę. W jednym technieniu stworzyłeś i wypowiedziałeś system cały postępowania prawnego. Ale w tem wszystkim nie masz i ździebka sensu. Czy masz tak zaraz prawnika pod ręką?

— Mam aż dwóch: jednego w Londynie, drugiego w Edynburgu.

— Bierzmy bliższego, a zatem z Edynburga. Jesteś sprawiedliwym i wspaniałomyślnym dla Bianki, i Bianka jest dla ciebie tak samo sprawiedliwą i wspaniałomyślną, a oboje sądzicie że będziecie takimi i dla dzieci waszych. No, tymczasem ja sam poddyktuję ci list do twojego prawnika. Chodź do biblioteki.

Po napisaniu listu i odesłaniu na pocztę, sir Patrik zabronił Arnoldowi wspominać o tem Biance, dodając, że potrzeba jeszcze i trzeciego zezwolenia prócz mojego i panny.

— Czyjegoż?

— Lady Lundie.

— Lady Lundie?

— Tak, ciebie to dziwi? Wprawdzie ściśle rzeczy biorąc jestem ja tu powagą jedyną, ale lady Lundie jest macochą Bianki, a w przypadku mojej śmierci, jej naturalną opiekunką. Potrzeba zatem odwołać się do niej, chociażby przez grzeczność tylko.

Arnold smutnie spojrział na sir Patrika.

— Co to? nie chcesz rozmówić się z tak łagodną i powolną osobą? Może na morzu byłeś bardzo użytecznym, ale tutaj na stałym lądzie jesteś jak widzę do niczego. Idź-że więc sobie marzyć i wdychać w ogrodzie, a ja cię zastąpię bo muszę.

Po wyjściu Arnolda sir Patrik zamyślił się frasobliwie, bo przeczuwał że z panią bratową niełatwa będzie sprawa.

„Przypuszczam, mówił sam do siebie że Tom poczciwy miał jakiś na nią sposób. Ale jaki? Gdyby była żoną mularza, cieśli, zapewne dobrą byłaby kobietą, bo lękałaby się ciężkiej pięści męża, ale Tom nie był ni jednym ni drugim. Jakżeż więc z nią sobie radził? Ale iść potrzeba i winienem coś przecie liczyć na mój wrodzony dowcip.”

Po chwili zastukał do buduaru pani domu.

XXIX.

Sir Patrik zastał bratową w całym otoczeniu domowych zajęć, listów, spisu gości, rachunków i notatek, przy sekretarce hebanowej, wykładanej srebrzem.

— Czy czasem nie przeszkadzam? zapytał sir Patrik. Jestem próżniakiem mogę więc przyjść później.

Lady Lundie przycisnęła dłonią czoło i uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Cokolwiek głowa dolega ale siadaj bracie bo skoro nakazuje obowiązek, umiem być poważną albo wesołą a przystępną zawsze. Od biednej, słabej niewiasty to i czegoż żądałby więcej? O cóż tu chodzi? To rzekłszy zajrzała do notatek oprawnych pięknie w pasowy safian i zaczęła czytać pół głosem. „Ubodzy — missje pogańskie — nowi goście rozmowa sam na sam z Patrikiem“... Otóż twoje żądanie sir, wybacż żem tytuł opuściła, ale jesteś zawsze tak dobrym dla mnie, tak względny! Czy to jaka ważna sprawa? Zapewne coś kłopotliwego? Jestem przygotowana na wszystko.

Zasiadła się głębiej, wsparła łokcie na poręczach krzesła, założyła ręce jak gdyby poselstwo jakie przyjąć miała i spojrzała się na sir Patrika z wyrazem: „Słucham.”

Stary szlachcic wspomniął znowu brata nieboszczyka i westchnąwszy cichaczem przystąpił do rzeczy:

— Nie jest to nic kłopotliwego, rzekł, lecz zawsze interes budzący obawę, bo chodzi o Biankę.

Lady Lundie ścisła krzyknęła i dłonią przysłoniła oczy.

— Czy musisz mówić mi o tem, sir Patrik? zawołała z objawem tliwości wielkiej, czy musisz koniecznie?

— Tak jest muszę.

— To mów-że! Godłem kobiety jest poświęcenie. Nie pokażę ile cierpię i jak jestem strapioną.

Sir Patrik nie okazał także, ani współczucia ni zdziwienia.

— Chcę mówić o jej dzisiejszym nerwowym ataku. Czy pani wiesz co go spowodowało?

— Ah, otóż? zawołała głosem silniejszym podnosząc się nagle — nie chciałam o tem wspomnieć, straszne to, okrutne! Lecz skoro sam o tej napomykasz okropności, niechżeż będę sprawiedliwą!

— O czemże napomykam?

— Bóg widzi, że nie chciałabym mówić, wołałabym milczeć ale mi nie pozostawiasz wyboru. I jako chrześcijańska niewiasta i pani domu, jako wdowa po twoim bracie najdroższym, jako matka tej ośląkaniej dziewczyny, muszę, muszę wypowiedzieć wszystko. Chciałbyś mnie oszczędzić, nieprawda? Ale niepodobna, bo muszę przytoczyć fakta!

Sir Patrik pomyślał: Oh gdybym był mularzem lub cieślą! i pokłonił się jako słabszy w obec siły.

— Pozwól, że przysłonię nieco te okropności, które się tam działy na górze przez wzgląd na ciebie sir Patrik, mówiła dalej — lecz muszę to wyrazem okropności oznaczyć. Gdym posłyszala że Bianka zasnęła, pobiegłam zaraz do niej, bo wierne spełniam każdy obowiązek, dopóki technienia mi stanie. Zastałam ją w płaczach, krzykach i zachowywałam cały swój spokój. Zamknęłam oczy na jej rzucania się i wykrzykniki — jako prawdziwa anielka szlachetnego rodu... Ale gdym z ust Bianki posłyszala imię, którego w rodzinie naszej nikt nie powinien wymieniać, zawołałam na moją Hopkins: Słyszysz! To nie jest atak histeryczny ale opętanie, podaj mi chloroformu.

Chloroform, jako sposób wypędzenia djabła, był dla sir Patrika wynalazkiem nie znanym jeszcze. Słuchał zatem z całą możebną powagą, a lady Lundie mówiła dalej.

— Hopkins jest wyborną kobietą, ale w języku niepowściągliwą. Spotkała doktora w sieni i powiedziała mu co zaszło, więc doktor przyszedł zaraz. Przykro mi było że on, jako gość w moim domu, jako gość szanowny miał być wezwany do spełnienia obo-

wiązku swego powołania, zwłaszcza że przekonałam się, że tu raczej kapłan niż doktor był potrzebniejszy. Hopkins wszelako zawiniła gadulstwem, nie było rady. Więc prosiłam go ażeby zrobił *pragnosis*, czy tam, *diagnosis*. Mówię zwykle poprawnie, lecz jestem tak wzruszona, że łatwo mogłam się omylić.

— Mówiłem z doktorem i nie potrzebujesz mi pani powtarzać, co wyrzekł o słabości Bianki.

— Nie potrzebuję powtarzać? Oh, sir Patrik! Ta twoja wrodzona niecierpliwość przeszkadza wszystkiemu. Nie umiałeś jej nieraz powstrzymać, żałowałeś tego następnie, nieprawda?

— Doskonale umiesz pani w duszy czytać mojej, bo jestem rzeczywiście niecierpliwym posłyszec, co Bianka wypowiedziała przyszedłszy do siebie.

Bretońska matrona przemieniła się nagle w niewiastę w oka mgnieniu.

— Nic odrzekła, zgrzytnąwszy zębami.

— Nic? powtórzył sir Patrik.

— Nie!.. Sama jej podałam lekarstwo, przecięłam własną ręką tasiemki jej sznurówki, zlałam jej głowę całą zimną wodą i pozostałam przy niej, dopóki nie odzyskała przytomności: potem wysłałam wszystkich z pokoju, wzięłam ją w objęcie, ścisłam i pytałam ciągle: powiedz, powiedz Bianco co zaszło? Powierz mi wszystko! Lecz nie odezwała się w niej serce, i milczała upornie.

— Może się przelekła?

— Oh! przelekła się? słowa swoje sir, odwołaj, bo tego wyrzec nie mogłeś!

— To jest, może się lękała...

— Przestań! Bo znieść nie mogę by mi ktoś powiedział, żem nie spełniła obowiązku swojego a jeszcze człowiek, którego cześć i poważam! Mogę znieść wiele, lecz tego nie przeniosę. Byłam więcej aniżeli matką dla córki twojego brata kochanego, i stałam się dla niej siostrą starszą po pracy usilnej, podjętej dla jej wykształcenia. Pracowałam, sir Patrik, a pracowałam szczerze, pomna na słowa poety: Rozkoszają jest młodą uprawiać duszę i wielkich pouczają ją idei! Czyniłam wszystko com mogła Zawiozłam ją wczoraj jeszcze do najwspanialszej relikwii z czasów feudalnych w Perthshire. Poświęcałam się, ponosiłam ofiary dla niej, a mówisz, żem ją przestraszyła? To jest okrutnie! Więc pozwól mi narzekać, gdy jestem zraniona w samo serce... a gdy dusza boleje...i...i...

— Pani mnie nie zrozumiałaś, nie dosłuchałaś, com miał powiedzieć, dopuszczony wzruszeniem lady udanem czy prawdziwym, odezwał się wreszcie sir Patrik, sądzę że Bianka lękała się wyrzec prawdę, gdyż dręczy ją niewymownie los miss Silvester...

Lady Lundie krzyknęła i zakryła oczy.

— Och! wołę uciec z domu, zawołała z wyrazem dzikim — schronić się w ostatnim zakątku ziemi, byle tylko tego nie posłyszec nazwiska! Nie, sir Patrik, nigdy miano to nie powinno być wymówione w obecności mojej, w pokoju moim, dopóki panią w Windygates będę!

— Przykro mi, że sprawię pani nieprzyjemność, lecz muszę mówić o wypadku, który wydarzył się tutaj a o którym pani nie wie dotąd.

(d. c. n.)

Dalszy ciag opisu dodatku arkusowego, dołączanego do N. 12. Tyg. M6d.

N. 25. Sukienka skośnie zapinana dla chłopczyka od 2 do 4 lat.

Sukienka z pasowego kaszmiru szyje się na podszewce; sp6dniczka z przodu zupełnie gładka, z tyłu w g6łębokie fałdy w pasek wszyta. Dwa cent. szeroka, skośna aksamitna plisa, przyszywa się do sukienki w 6 z kieszonkami w guście tureckim na białym tle. Skośne przecięcie staniczka i sp6dniczki zapina się od spodu na hafki, a guziczki aksamitne przyszyte s6 tylko dla ozdoby. Z boku do aksamitnego paska przypięta 12 cent. szeroka szarfa, z tego co sukni6 materiału, naszyta aksamitk6, zakończona czarn6 jedwabn6 frendzl6.

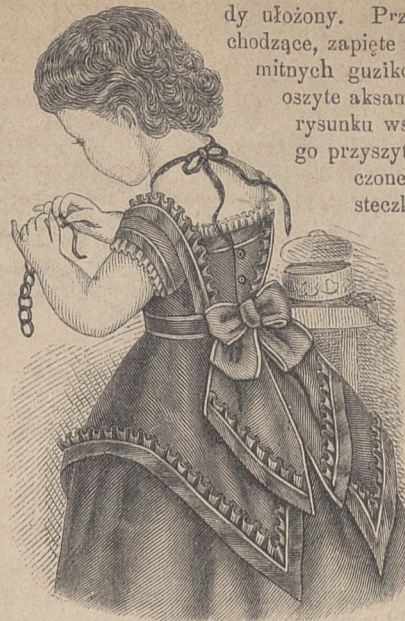
N. 2. Sukienka dla małej dziewczynki. Prz6d. Zobacz kr6j w dodatku do N. 10 Tyg. M6d fig. 32 — 40.

N. 26. Sukienka dla chłopczyka od 2 do 4 lat.

Sukienka z wełnianej fijołkowej materji, cała dla ciepła flanelk6 pasow6 podszyta, ma prz6d i boki kliniasto ścięte, a tylny prosty bryt w dwie płaskie fał-



N. 1. Okr6gły kapelus.



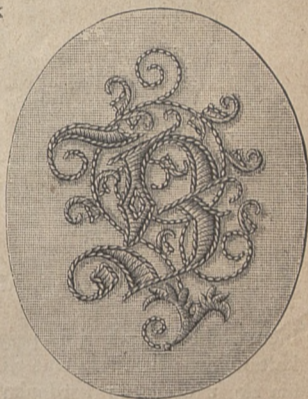
dy ułożony. Prz6dy stanika na siebie za chodz6ce, zapięte na 2 rzędy czarnych aksamitnych guzik6w. Futrem lub pluszem oszyte aksamitne wyłogi, w spos6b na rysunku wskazany do szwu prz6dniego przyszyte i guzikiem u dołu zakończony, z tyłu tworz6 rodzaj chusteczkowego kołnierza. Pasek aksamitny. R6k6 w ki i sukienka u dołu futrem lub pluszem oszyte.

N. 27. Sukienka z podw6jn6 sp6dnicz6k6.

Pierwsza sp6dniczka br6zowa wełniana, z muslinow6 podszewk6, ma u dołu 182 c. obwod6, 44 cent. długości, z wierzchni6 z aksamitu jaśniejsza wszyta w pasek, podpięta z bok6w i z tyłu rozetami z materiału sukni, ma 150 c. obwod6, 34 cent.

N. 3. Sukienka dla małej dziewczynki. Z tyłu. Zobacz kr6j w dodatku do N. 10 Tyg. M6d fig. 32 — 40.

długości. Na gładki, podszyje na guziczki zapinany staniczek, kładzie się puszczoney kaftanik, z tyłu i po bokach na 6 cent. zszyty, dalej otwarty zar6wno jak tunika oszyty 3 cent. szerok6 fałbaneczk6. Na d fałbank6 dana pliska 1 3/4 cent. szeroka, z materji koloru sukni lub o d powiedniego, wyhaftowana jedwabiem ścięciem długim. D o podłuznego wykroju szyi dopasowany kołnierzyk 3 cent.



N. 5. Cyfra (monogram).



N. 4. Cyfra (monogram).



N. 6. Pelerynka watawana.



N. 7 — 8. Strojne ubrania ze stanikiem pod szyje i do gorsu.



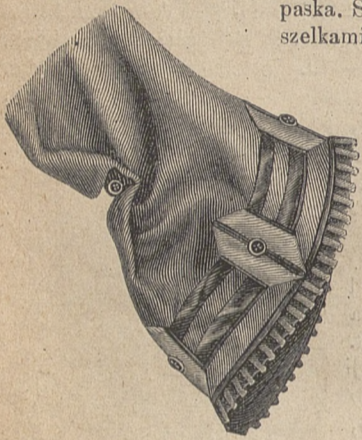
N. 9 — 10. Suknia z tarlatanu lub z materji z gazoweni wolantami.

szeroki; rękawy obcisłe naszyte są haftowaną pliszką.

Nr. 28. Sukienka z karoczek.

Przybranie sukienki wełnianej koloru bordeaux stanowi wolant 10 cent. szeroki, wycięty w okrągłe zęby, oszyte aksamitką. Układ garnirunku dokładnie N. 28

przedstawia, dodamy tylko, że tak spódniczka, jak wolant i karoczek mają muslinową podszewkę. Karoczek składa prosty kawałek 72 cent. długi, z tyłu 16 cent. szeroki, ku przodowi zaokrąglony do 4 cent. szerokości, który fałduje się z tyłu na przestrzeni 18 cent. i wszywa do paska. Staniczek przybrany jest szelkami 6 cent. szerokiemi, wyciętymi okrągło na ramionach, oszytymi wąską aksamitką.



N. 13. Rękaw z przepiętą fałdą.

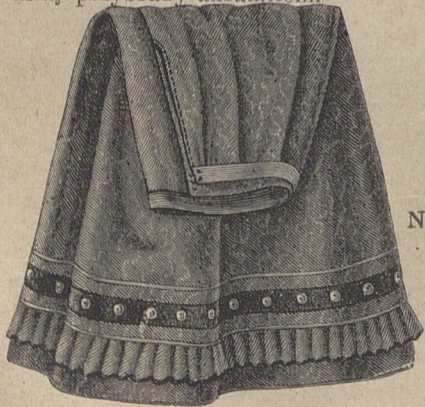
bienia białiny jak i do przybrania sukien jedwabnych, kaftaników i t. p. Do materji aplikacja odraabia się z czarnego kordonku i przenosi na koronkę czarną. Do białiny używa się bawełny kręconej i koronki białej.

N. 30. Aplikacja haftu.

Do przyozdobienia w ten sposób białiny użyć można nie tylko gotowych, nie drogo kosztujących aplikacji, ale nawet użytkować stare atłasowe hafty, które ostrożnie wycięte, na nowe tło lub koronkę przeniesione, mogą stanowić bardzo eleganckie przystrojenie czepeków, kołnierzyków, chustek itp.

N. 31. Stanik z baskiną przybrany aksamitem.

Wązka pliska aksamitna otacza wykrój pod szyję, przybiera przody stanika i brzegi baskiny. Aksamitne kokardy stanowią przystrojenie z przodu; na ramionach szeroki plisowany pasek aksamitu, tworzy epolety. Rękaw zakończony wolantem przybrany aksamitem.

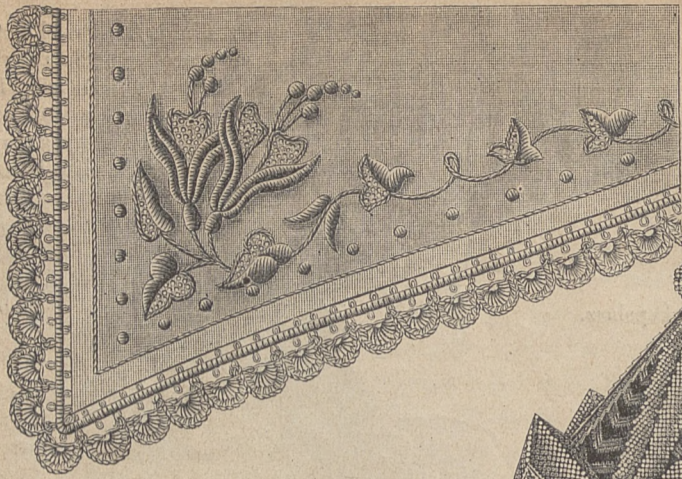


N. 26. Spódniczka z czarnej wełnianej mory z garnirunkiem.



N. 17. Pokład kanwy do bocznej ściany

Nr. 11. Kołnierzyk. Haft atłasowy, brzeżek szydełkowy.

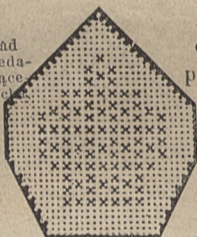


N. 29—30. Dwa garnirunki z aplikacją, do czepeków, kołnierzyków, rękawków, szmizetek itp.

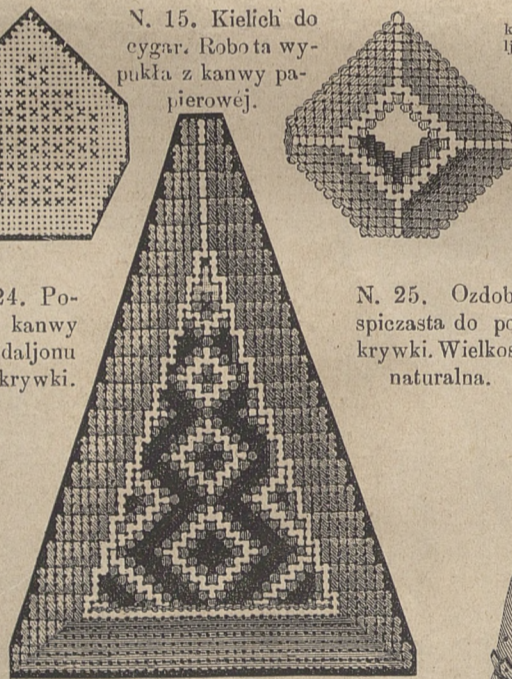
N. 29. Powyższy wzór roboty szydełkowej nawijanej, zarówno służyć może do ozdoby



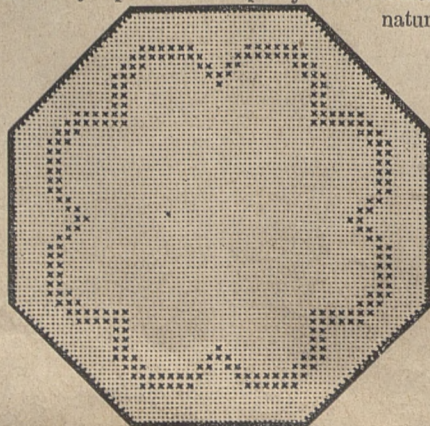
N. 21. Pokład kanwy do części piramidalnej pokrywki kielicha. Postawa do N. 20.



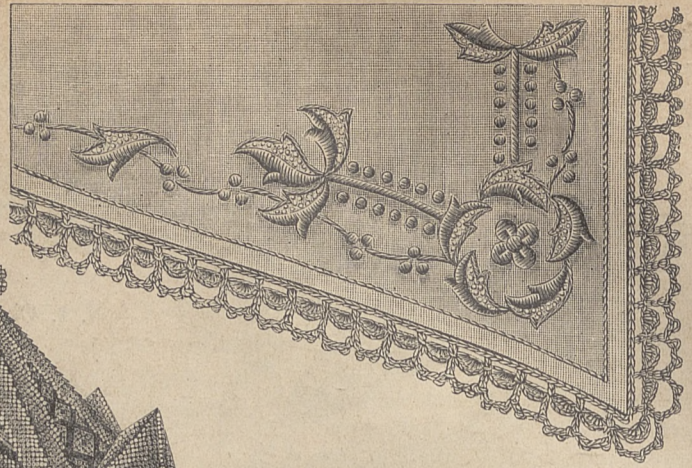
N. 24. Pokład kanwy do medaljonu od pokrywki.



N. 20. Część piramidalna pokrywki. Wielkość naturalna.



N. 16. Pokład kanwy do kielicha na cygara.



N. 12. Kołnierzyk. Haft atłasowy, brzeżek szydełkowy.

Stanik ten łatwo dopasować podług formy kaftanika do figury, którą poda liśmy w poprzedzających numerach; mała znać ce od zmiany wykonania każda z ręka. Rękawy podług wyboru, mogą być obcisłe lub luźne. Kaftanik szyje się zupełnie bez fiszbinów, 3 1/2 cent. szeroka falbanka układa się ze skosów podwójnie złożonych. Plisaka także skośna 3 cent. szeroka podszywa się muslinem sztywnym i obejmuje z jednego lub obu brzegów 1 cent. szeroką wypustkę. Stanik zapięty na guziki szmuklerskie lub oszyte w jedwabną materję, może obejmować się paskiem i mieć naszytą pelerynkę jak na rycinie 32, lub być bez paska i pelerynki jak ryc. 33 wskazuje.

Opis do N. 13.

N. 1. Okrągły kapelus.

Przystrojenie to nadaje się bardzo do okrągłych nawet trochę



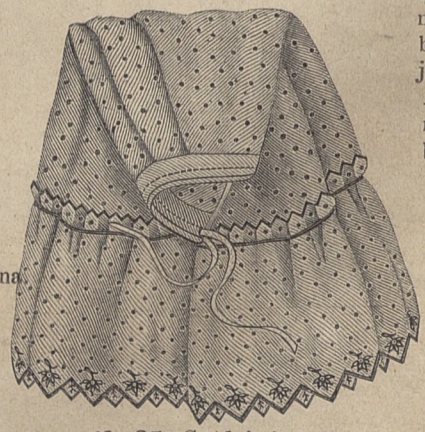
N. 23. Pokład kanwy do medaljonu do ryc. 15. Do górnej pokrywki.



N. 22. Pokład kanwy do pokrywki kielicha ryc. 15.

N. 25. Ozdoba spiczasta do pokrywki. Wielkość naturalna.

równo do wyciętego staniczka sukienki jak i do bluzki muslinowej. Model odrobiony był z kaszmiru niebieskiego na podszewce ze sztywnego muslinu. Karoczek otwarty z tyłu i spięty szarfami, składa się z trzech brytów w ząb wyciętych jak to rysunek wskazuje. Przedni bryt ma na samym środku 21 cent. z boków 13 cent. długości, szerokości zaś u góry 17 cent. u dołu 27 cent; tylne bryty są 28 cent. długie, mają u dołu 30 u góry 23 c. szerokości.



N. 27. Spódniczka ze wzorzystej flanelki.



N. 18. Pokład kanwy do bocznej ściany

N. 32—33. Stanik z karoczekiem.

Stanik ten łatwo dopasować podług formy kaftanika do figury, którą poda liśmy w poprzedzających numerach; mała znać ce od zmiany wykonania każda z ręka. Rękawy podług wyboru, mogą być obcisłe lub luźne. Kaftanik szyje się zupełnie bez fiszbinów, 3 1/2 cent. szeroka falbanka układa się ze skosów podwójnie złożonych. Plisaka także skośna 3 cent. szeroka podszywa się muslinem sztywnym i obejmuje z jednego lub obu brzegów 1 cent. szeroką wypustkę. Stanik zapięty na guziki szmuklerskie lub oszyte w jedwabną materję, może obejmować się paskiem i mieć naszytą pelerynkę jak na rycinie 32, lub być bez paska i pelerynki jak ryc. 33 wskazuje.



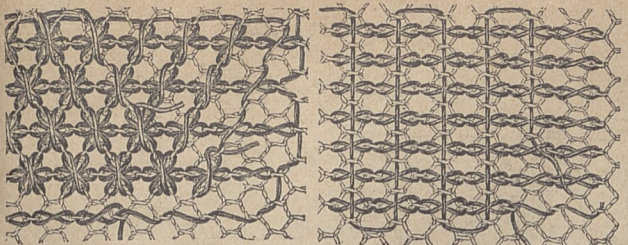
N. 14. Rękaw z wolantem.

przyniszczonych kapeluszy filcowych, ponieważ ubranie prawie cały kapelus zakrywa. Na rondko popielatego kapelusza, ułożona jest z lewego boku bufa z aksamitu tegoż koloru. Takież kokardy, sute pióro i z przodu gałązka róży różowej z liśćmi z popielatego atłasu.

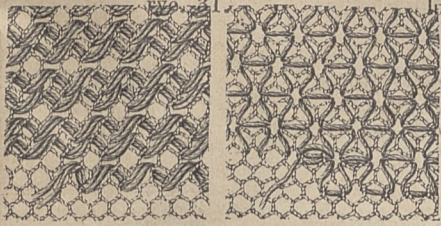
N. 2 i 3. Karoczek z szelkami.

Karoczek i szelki mogą być odrobione albo z tego co suknia materjału albo z aksamitu, materji lub kaszmiru czarnego. Nosić je można zarówno do wyciętego staniczka sukienki jak i do bluzki muslinowej. Model odrobiony był z kaszmiru niebieskiego na podszewce ze sztywnego muslinu. Karoczek otwarty z tyłu i spięty szarfami, składa się z trzech brytów w ząb wyciętych jak to rysunek wskazuje. Przedni bryt ma na samym środku 21 cent. z boków 13 cent. długości, szerokości zaś u góry 17 cent. u dołu 27 cent; tylne bryty są 28 cent. długie, mają u dołu 30 u góry 23 c. szerokości.

Garnirunek stanowi falbanka 2 c. szeroka, ułożona w rurki do góry



N. 32. Wyszycie na tiulu do ryc. 31. N. 33. Wyszycie na tiulu do ryc. 31.



N. 34. Wyszycie na tiulu do ryc. 31. N. 35. Wyszycie na tiulu do ryc. 31.

plisa 2 1/2 cent. szeroka, położona muslinem i objęta wypustką z białego kaszmiru. Karoczek tylko z tyłu cokolwiek nadmarszczony wszty jest w pasek 3 cent. szeroki białym kaszmiem objęty, szelki także do paska przyrębowane mają około 30 cent. długości, podszyte są zarówno jak szarfa muslinem, objęte wypustką i oszyte falbanką.

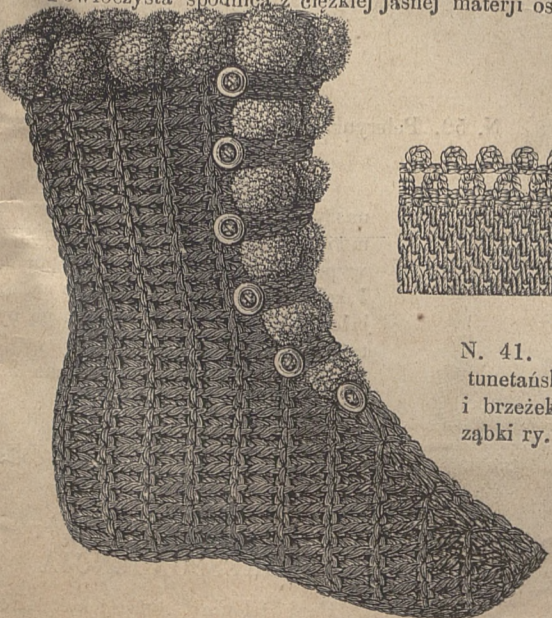
N. 4 i 5. Dwie cyfry do znaczenia.

Cyfry w monogram ułożone stosownie do przedmiotów na jakich mają być wyszyte, haftować można złotem, kolorowymi jedwabiami, albo bawełną. Do znaczenia bielizny najstosowniej- sza będzie bawełna biała z kolorową lub nawet w jednym kolorze.

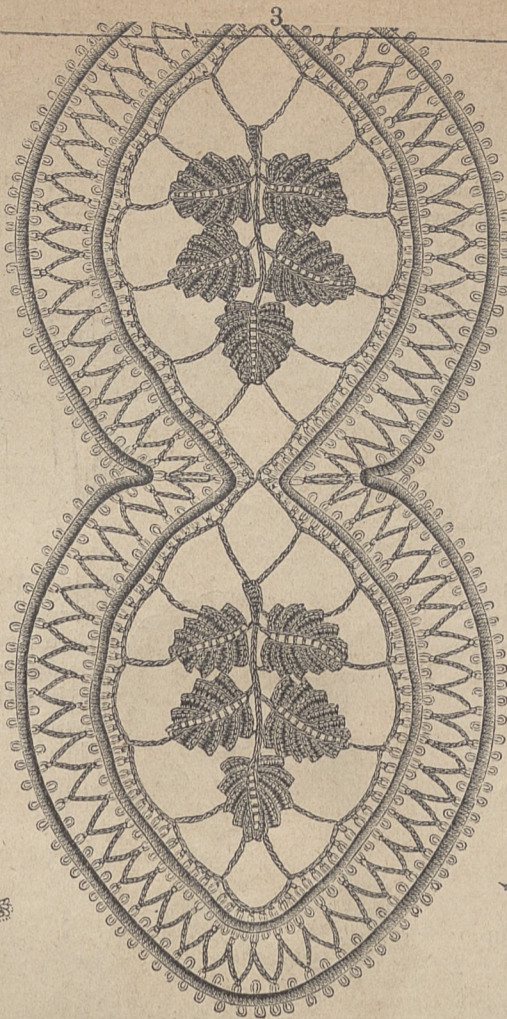
N. 6. Pelerynka watawana.

Wszelka jedwabna czy wełniana miękka materia użyta być może na wierzch pelerynki, podszewka jedwabna podwatowana powinna być przepikowana w kratkę. Pelerynka taka nie tylko służyć może jako ciepłe ubranie domowe, lecz odrobiona z kaszmiru, flanelki lub atlasu białego na jasnej kolorowej lub białej jedwabnej podszewce, stanowi strojne okrycie do teatru, na koncert i t. p. Przybranie modelu stanowią wycięte w ząbki falbanki. Dwie dołne 6 cent. szerokie, zmarszczone w górze i koronka czarna naszyte, trzecia 7 1/2 cent. szeroka, zakończona nagłówkiem. Przo- dy i wykroj pod szyją oszyte ruszą wyciętą w ząbki, 4 cent. szeroką.

N. 7 — 8. Ubranie strojne ze stanikiem do gorsu. Powłóczysta spódnica z ciężkiej jasnej materji oszyta

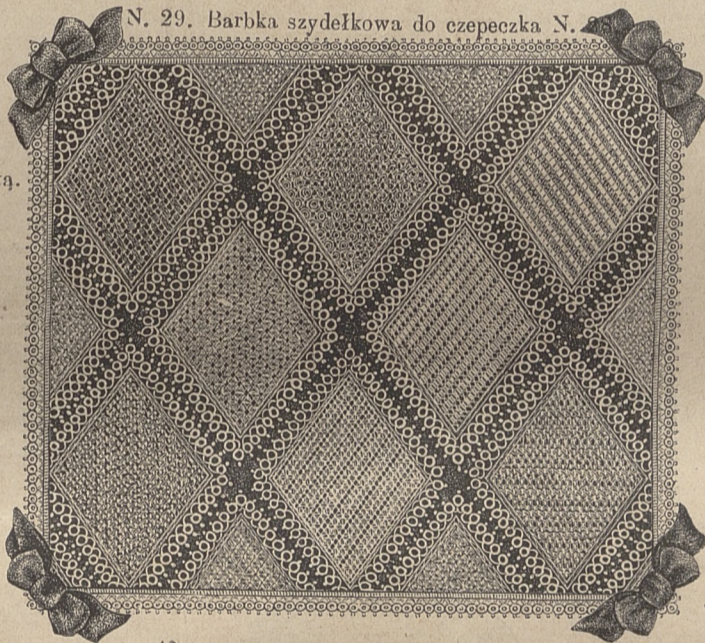


N. 43. Bucik dla dziecka oszyty kulkami. Robota tunetańska.



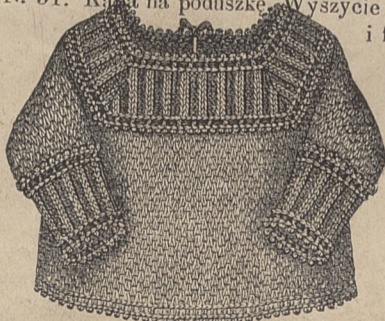
N. 29. Barbka szydełkowa do czepek N. 28.

N. 28. Czepek strojny z koronkową lub szydełkową barbką.

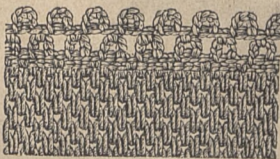


N. 30. Czepek z frywolitową barbką.

N. 31. Kana na poduszkę. Wyszycie na tiulu i frywolity.



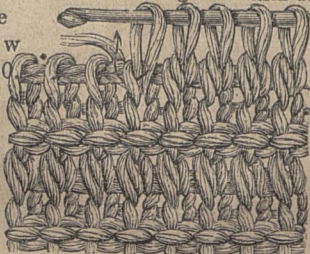
N. 40. Kaftanik dla dziecka. Robota szydełkiem i na drutach.



N. 41. Tło tunetańskie i brzeżek w ząbki ry. 40.



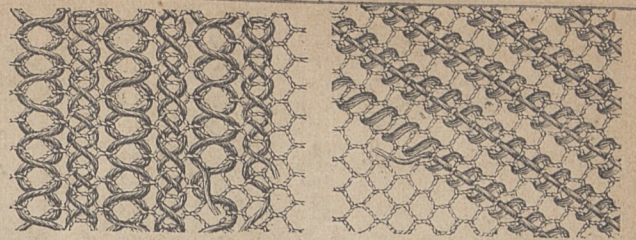
N. 47. Ścieg tunetański do górnej części bucika pod N. 45.



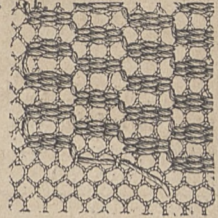
N. 44. Ścieg tunetański do ryc. 43.



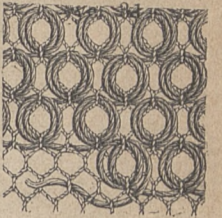
N. 46. Ścieg tunetański do ryc. 45.



N. 36. Wyszycie na tiulu do ryc. 31. N. 37. Wyszycie na tiulu do ryc. 31.



N. 38. Wyszycie na tiulu do ryc. 31.



N. 39. Wyszycie na tiulu do ryc. 31.

szerokim skośnym wolantem i bufami, zakończonemi z brzegów nagłówkiem. Stanik wycięty przybrany bertą szelkową, rękawki krótkie bufowane; do paska z tyłu przypięta szarfa. Szalik z gazy koloru sukni zręcznie zarzucony, tworzy draperję przezroczystą. Wieniec z powoju. Rękawiczki bardzo długie i wachlarz z kości słoniowej, dopełniają ubrania.

Druga suknia z ciężkiej materji koloru orzechowego, ma stanik z baskiną pod szyję zapinany na guziczki, rękawy puszczone, tunikę krótką podpinaną z wolantem i riuszą. Rękawki i kołnierzyk koronkowy, także z różami ubranie na głowę.

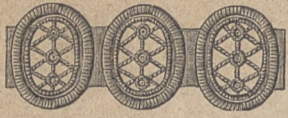
N. 9 — 10. Suknia z tarlatanu lub jedwabna z wolantami gazowemi.

Suknia z białego tarlatanu ma z przodu 115 z tyłu 150 cent. długości, dolnego zaś obwodu 452 centymetrów. Prząd cały zagarniowany falbankami, które z tyłu tylko do połowy długości dochodzą. Falbanki te nieobrubiane, po 2 jednakowej stopniowanej szerokości, najszersze od dołu mają 10 c. zwężane stopniowo, górne mają z przodu tylko 4 cent. Riusza 4 c. szeroka, stanowi nagłówek nad ostatnim wolantem z tyłu, w sposób na rysunku wskazany zaokrąglą się ku górze i zakończy z boków garnirunek przedni. Tunika dorównywająca tylnej długości sukni 190 cent. szeroka, powinna być z odpowiedniej szerokości tarlatanu, ukrojona bez szwu. U dołu i z boków garniruje się ją riuszą 7 cent. szeroką, u góry marszczy i przyszywa razem ze spódnicą do paska w ten sposób, ażeby z przodu nie schodziła się blisko na 30 cent. W odległości mniej więcej 27 cent. od góry, podpiną się tunikę w rodzaj karoczka przez co od dołu skraca się na 24 cent. Cały falbankami pokryty karoczek składa się z dwóch kawałków tarlatanu, 30 cent. długości, 50 cent. szerokości, które z tyłu zakładają się jeden na

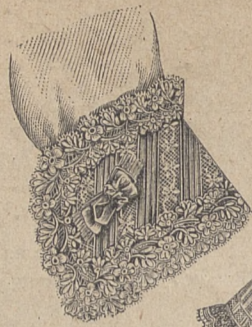


N. 42. Robota na drutach z brzeżkiem szydełkowym do ryc. 40.

N. 45. Bucik z cholewką w prażki.



N. 48. Szlaczek z aplikacji. Haft atłaskiem.

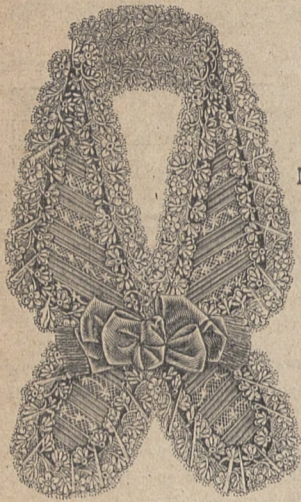


N. 57. Pelerynka z trójkątnej chusteczki.

„Zofja” ułożona chusteczki.



N. 49. Szlaczek z aplikacji. Robota szydełkowa.



N. 51. Rękawek do kołnierzyka z ranwersem ryc. 50.

drugi, z boku w ząb wycinają a ku przodowi zwiężają; u góry trzeba przymarszczyć i przyszyć do paska zapiętego rozetą z przodu. Staniczek gładko pokryty tarlatanem z bardzo krótkimi rękawkami, złożonemi z riuszy i falbanki. Berta na ramionach z szywana mająca z tyłu i przodu

N. 50. Kołnierzyk z ranwersem i końcami. Patrz rękaw ryc. 51.

9 1/2 cent. na ramionach 4 cent. szerokości, przykrawa się gładko z tiulu i na tym dopiero układa w kontrafałdy pas tarlatanu 16 cent. szeroki w ten sposób, iżby zbywające brzegi tworzyły od dołu szerszą, od góry wąską falbankę, przy której jako nagłówek naszywa się wązka riusza. Podług N. 10 można noszoną już suknię jedwabną przez

N. 53. Pelerynka „Gertruda” ułożona z trójkątnej chusteczki. Przód.

N. 54. Pelerynka „Gertruda” ułożona z trójkątnej chusteczki. Plecy.



N. 56. Pelerynka „Zofja” ułożona z trójkątnej chusteczki.

rzuca się jedno o. śc. potem 13 o. pow. za które tunetańskim sposobem zajmuje się 12 pętelek, następnie przeciąga się 1 o. przez wszystkie na szydełku będące i 1 o. przerabia, ściągając w kształt półkola. Koroneczka pod N. 12 składa się z rzędu muszek przyrobionych wzdłuż do fałcuszka i zajmowanych w 6 o. pow. zupełnie jak ząbki pod N. 11. Ząbki drugiego rzędu liczą po 3 pikoty, (każdy z 5 o. pow. i 1 o. śc. w pierwszej z o. pow.) 1 śł. 3 o. pow. 1 o. śc. Słupki zaczepiają się za oczka między muszkami poprzedniego rzędu.

N. 52. Kołnierzyk z podwójnym wyłożeniem.

N. 13—14. Dwa rękawy do sukien.

N. 13. Rękaw z fałdą przepiętą. Na rękawie z wełnianej, jasno piaskowej materji



N. 58. Pelerynka „Elżbieta” ułożona z trójkątnej chusteczki.

dodanie tuniki, berty, karoczek i falban gazowych w odpowiednim kolorze lub z czarnej grenadyny, bardzo strojnie odświeżyć.

N. 11—12. Kołnierzyki płócienne atłaskiem haftowane i oszyte szydełkową koronką.

Obadwa desenie z łatwością dopasować można, tak do kołnierzyków, z wyłożonemi ranwersami jak do okrągławo podciętych lub marynarskich. Haft atłaskowy może być albo na pojedynczym płótnie odrobiony i następnie z podszewką zeszyty i obstebnowany, albo też na uszytym już podwójnym kołnierzyku. Koroneczka pod N. 11 składa się



N. 60. Bluzka z karoczką z czarnego tiulu.



N. 59. Pelerynka „Elżbieta” ułożona z trójkątnej chusteczki.

naszyte 2 cent. szerokie plisy w ciemno kamiennym kolorze z jaśniejszą wypustką. Przepięcia i fałdę poniżej łokcia zdobią ciemno, takimiż materiałem poszyte guziki, które mogą być także z aksamitu.

Brzeg rękawa otacza ciemna falbanka.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 14. Tyg. Mód.

KORESPONDENCJA

Pani Helenie G. sześć kafi z haftem i dwa neglige półba. Kosztować będą rs. 70.